

ROK LIX.

CENA NUMERU 1.40 gr.

Nr. 3

# BILUSZCZ



E. B.

WARSZAWA, 16 STYCZNIA 1926 ROKU



ANNA SŁONCZYŃSKA  
**MUZYKA SŁOŃCA I BOŻE GNIAZDO** (poezje) 2 tomiki Zł. 5.  
 Nakład Ludwika Chomińskiego. Wilno. Do nabycia we wszystkich księgarniach.

**NIE WYRZUCAJMY PIENIĘDZY NA OBCE ZAGRA-  
 NICZNE WYDAWNICTWA — SKORO MAMY SWOJE  
 CONAJMNIEJ RÓWNIIE DOBRE!**

Wydany przez nas bardzo starannie,

# ZBIÓR MONOGRAMÓW

zawierający przeszło sześćset wzorów od wykwintnych do naj-  
 skromniejszych, dorównywuje pod względem wykonania zagra-  
 nicznym tego rodzaju wydawnictwom, a mając charakter swoisty,  
 bardziej odpowiada wymogom domu polskiego.

**ZBIÓR TEN JEST NIEZBĘDNY  
 W KAŻDYM OSZCZĘDNYM I RZĄDNYM  
 DOMU**

Każdy, nie umiejący nawet haftować, z naszego „ZBIORU”  
 (ze względu na ilustrowane pouczenia) skorzystać potrafi.

Za jeden monogram płacicie Panie około 2 zł; cena na-  
 szego „Zbioru” wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 5 zł.

Wysyłka natychmiastowa po nadesłaniu pieniędzy prze-  
 kazem pocztowym. Za zaliczką wysyłamy tylko po otrzymaniu  
 1 zł. znaczkami pocztowymi.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”

Warszawa, Krak.-Przedm. 99.

Konto P. K. O. 3700.

**Chorzy!** Używajcie tylko pewne **Chorzy!**  
 i wypróbowane środki

Tysiące ludzi chronicznie chorych uzdrowiły (znane  
 od 1602 roku)

**REFORMACKIE**

pigułki z m. Zakonnik



Zalecane przez powęgi lekarzkie **REFORMACKIE** pigułki z m. za-  
 konnik radykalnie usuwają wszelkie cierpienia **ŻOŁĄDKOWE**, cier-  
 pienia **NEREK**, cierpienia **WĄTROBY**, **KAMIEŃ ŻÓŁCIOWY**, cier-  
 pienia **HEMOROIDALNE**, **REUMATYZM**, **ARTRETYZM**, bóle **GŁOWY**,  
**WYRZUTY** i **LISZAJE**, pobudzają **TRAWIENIE**, **APETYT** i przy  
 skłonnościach do **OBSTRUKCJI** są niezastąpionym środkiem  
**PRZECZYŚCZAJĄCYM**.

Użyć 1 do 2 pigulek na noc. — Cena pudeł: zł. 1.10

Wyrobu apteki **KARCZEWSKI-TUSZYŃSKI** Warszawa, Trębacka 4  
 Ządać w aptekach i składach z Zakonnikiem

**KTO MA BRODAWKI NA TWARZY I RĘKACH  
 KTO CIERPI NA ODCISKI (ODGNIATY) NA NO-  
 GACH, NIECH KUPI PASTĘ**

wyrobu aptekarza

**ESTA**

**ZNANĄ OD CZTERDZIESTU LAT ZE SWOJ  
 SKUTECZNOŚCI, CZEGO DOWODEM SĄTKI  
 UZNAŃ I PODZIĘKOWAŃ**

**E. SOKALSKIEGO** w Kętach — Małopolska.





ROK LIX

KWIATY TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

NR. 3

WARSZAWA, 16 STYCZNIA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Ciężary niepodległości — *H. Ceysingerówna*. W nich przyszłość nasza — *C. Walawska*. Zadania odwożek — *Janina Sokółowska*. Nasz dom — *Helena Boguszewska*. Wiersze: 1) „Słodką jest dzisiaj ma dusza”, 2) „Willa” — *Marja Morstin-Górska*. Koty — *Zofja Dąbrowska*. Nuwopowry — *Marya Jehanne Wielopolska*. Jedno spojrzenie (c. d.) — *Marja Kuncewiczowa*. Córnka Boga — *Z. Zawiszanka*. Na stopniach tronu (c. d.) — *Marjan Dubiecki*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Kwiaty do dekoracji. Modne rękawy — *W. L. Batik* — *Marja Zawadzka*. Z dziedziny kosmetyki — *Dr. J. Świtalska*. Hodowla ogórków (dokończenie) — *Stan. Schönfeld*. Kilka słów o kawie — *J. S.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dział rozrywek umysłowych. Dodatek powieściowy: „Jarek i Hamlet” (kronika zdarzeń z życia pewnego chłopca, jego psa i prowincjonalnego miasta) c. d. — *Hugh Walpole* — (tłum. z angielskiego *Irena Wasutyńska*). ARKUSZ WZORÓW.

## CIEŻARY NIEPODLEGŁOŚCI



Dziecko myśli o wieku dojrzałym, jak o raju. Być dorosłym człowiekiem, mieć własną wolę! Cóż bardziej upragnionego?! Stan przymusowego ubezwłasnowolnienia, w którym żyją za zwyczaj narody, pozbawione własnej formy państwowej, porównałyby można pod niektórymi względami z wiekiem dziecięcym człowieka. I takim narodom niepodległość przedstawia się zazwyczaj, jako nieograniczony rozmach swobody i jako ideał szczęśliwości. Coś podobnego imaginowali Polacy za lat niewoli. Im bardziej odległym było dane pokolenie od tragicznego momentu rozbiorów, tem bardziej nierealnym i dlatego właśnie tem piękniejszym wydawał mu się sen o niepodległości. Oczywiście, nie mówię o tych, dla których od niepodległości większy walor miały Rynki Wschodnie — bo to już jest psychologia całkiem swoistego rodzaju, i ci ludzie i dziś, wbrew obłudnym pozorom, ideologii swojej pozostali wierni. Mówię o marzycielach i bojownikach niepodległości.

Aliści wiek dojrzały nie jest ideałem szczęśliwości, jest tylko dalszym etapem w rozwoju, a rozwój — to wysiłek, to trud, to walka i to wzrost.

I niepodległość polityczna kraju nie jest ideałem szczęśliwości, jeśli szczęśliwość pojmować, jako kwiaty i jako nieograniczone niczem roz-

kielznanie woli, a raczej samowoli — a tak właśnie, w tem obojem znaczeniu, pojmować ją najskłonniejszym jest ogół polski.

Na dojrzałego człowieka spadają ciężary realnego życia i to, o czem dziecko nic nie wiedziało — odpowiedzialność.

Na obywatela niepodległego państwa — tak samo.

Bo przypomnijmyż sobie, jak to było.

Całą władzę, dostojęństwo, urzędy posiadli obcy.

Polak (mówię oczywiście o zaborze rosyjskim) odsunięty był od wszystkiego. Tylko najniższe i całkiem nieodpowiedzialne stanowiska były dlań dostępne. Ale wraz z tem odjęto mu też wszystkie kłopoty, troski i całą odpowiedzialność za urabianie życia państwowego, politycznego, a nawet i społecznego.

Sprawą bezpieczeństwa publicznego np. zajmował się rząd obcy, obca policja, obce władze. My tylko zdaleka patrzyliśmy na to kosem okiem, krytykując, zupełnie zresztą słusznie, urągając na łapownictwo, na nadużycia, na barbarzyństwo systemu, a co czynniejsi tylko, marząc przytem, jakbyśmy to urządzili te sprawy we własnym państwie, własnymi rękami.

Tak samo z kwestją waluty np! Któż z nas troszczył się o te rzeczy, kto wogóle pytał o nie?



Dokonywały się w tej dziedzinie ważne reformy. Witte wprowadził walutę złota. Ale ogół nasz nie interesował się tem wcale. Chyba snerjaliści finansisci pisywali na ten temat nudne artykuły, których nikt nie czytał. Bo i po co? Wiedzieliśmy, że wpływu żadnego na te rzeczy nie mamy i mieć nie będziemy. Nie było celu nawet urabiać sobie jakiegokolwiek zdanie w tej kwestji. Dano nam do rąk złote monety zamiast papierowych banknotów — i na jednych i drugich był orzeł dwugłowy i carskie oblicza, czarki Monomachów i t. p. Co nas to wszystko obchodziło?

Nie mówię już nawet o tych działach państwowości, do których ogół nasz, aż do ostatnich czasów, stosował się już nie obojętnie, ale wprost wrogo: o armji, żandarmerji, ochronie, władzach oświatowych, cerkwi prawosławnej, będącej wtedy organem państwowym, cenzurze i t. d. i t. d.

Wszelki rozstrój w tych dziedzinach, nawet przez tych, co do tego nie przykładali osobiście ręki, witany był z zadowoleniem.

Ale nawet i poza zaborem rosyjskim, zakres rządów autonomicznych i udziału w polityce parlamentarnej państw zaborczych ze strony polskiej był nikły na wąskim stosunkowo terenie, nie dawał tej pełni twórczej pracy i odpowiedzialności, jakiej ciężar spada dziś na każdego bez wyjątku obywatela niepodległej Polski.

Taka abstynencja od spraw państwowych, w części przymusowa, w części dobrowolna, ho nakazana przez patriotyzm polski i polską, acz w powietrzu wiszącą, rację stanu, urobiła całkiem odrębny typ psychiczny.

W Polsce (zwłaszcza w zab. ros.) człowiek dostojny zajmował się nauką, sztuką, teatrem, filozofją, teozofją, literaturą, poezją, ale nigdy polityką, chyba tą polityką tajną, która była raczej apostołstwem oświatowem, albo konspiracyjnym terorem, ale nie sztuką rządzenia państwem, krajem, narodem, społeczeństwem, nie sztuką współżycia z innymi narodami i miała raczej za cel przetrwanie, doczekanie się lepszych czasów i sposobniejszych chwil, niż rozwój, wzrost, parcie naprzód.

Na dostojnego człowieka w Polsce spadł nagle ciężar niepodległości. Ledwie zdołał on ucieszyć się zrealizacji ukochanego marzenia, już trzeba było wytwarzać na gwałt tę skorupę, która narodowi każdemu służy za pancerz obronny, a która nazywa się państwowością. Trzeba ją było wytwarzać we wszyst-

kich naraz kierunkach: wojskowości, policji, administracji, finansów, oświaty, przemysłu, emigracji i t. d. i t. d. Trzeba było układać konstytucje, a co gorsza wykonywać ją. Człowiek dostojny się zadyszkał. Przytem z noru wpełzło współzawodnictwo wszelkich szachrajów i spekulantów politycznych. Człowiek dostojny, człowiek uczciwy otrząsnął się z obrzydzeniem, z początku próbował walczyć, wkońcu ustąpił, cofnął się na miejsce, gdzie był poprzednio, na teren prywatnego życia, zawodowej pracy, nauki lub sztuki, pozostawiając sprawy państwowe aż nadto często w rękach niegodnych piastunów.

Jesteśmy świadkami abstynencji od spraw politycznych całego szeregu najwbitniejszych i najgodniejszych zaufania jednostek, a potem widzimy, jak cały ogół obywateli gnje się pod ciężarem nieznanym im dawniej zagadnień i spraw. Nie rozumiejąc skąd to pochodzi, ogół narzeka: kiedyż nareszcie skończą się te troski? Kiedyż przestaną nas dręczyć zagadnienia walutowe, gospodarcze, podatkowe, kwestje mieszkaniowe, obrony granic, bezrobocia, przysposobienia wojskowego, kiedyż odetchniemy nareszcie? Tyle tych wciąż nowych ciężarów; Rząd zły, Sejm zły, generałowie się kłócą, partje się wodzą za łby. Urzędnicy robią nadużycia, nikomu wierzyć nie można i t. d. i t. d.

Czyż to nie treść wszystkich rozmówek współczesnych? Czyż nie przed temi rzeczami rzuca się człowiek w otchłanie myślobójcze kabaretów, dancingów, kin i t. p.

Kiedyż się to wszystko skończy?

Nigdy się nie skończy.

Bo to wszystko jest życie, życie normalne niepodległego narodu. Prawda, że trudności i troski zastrza ogólna sytuacja powoenna, ale gdy to minie, przyjdą zagadnienia inne, ważniejsze i większego znaczenia.

Ciężar niepodległości przygniata wszystkich, i jednostki wybitne, i szary ogół przeciętnych obywateli, bo wszyscy nie jesteśmy do normalnego życia na wolności przygotowani i przystosowani.

Uginamy się prędko, łamiemy łatwo.

A wniosek z tego wszystkiego?

Musimy siebie samych do niepodległości wychować. Musimy stać się ludźmi, którzy odczuwają radość uczciwej walki, i szczęście wzrostu, i rozkosz wysiłku.

Nad pogrążonymi w kwiatyżmie amatorami spokojnego bytowania historia przechodzi do porządku dziennego.

H. Caysingsrówno.





# W NICH PRZYSZŁOŚĆ NASZA

(migawka b'arcerska)



Niedawno odbył się kiermasz harcerski. Niby nic. Sprawa dochodowa. Mózg ludzki wysila się na coraz nowe kombinacje, żeby zdobyć środki dla podtrzymania instytucyj koniecznych. Kiermasze różnego rodzaju odbywają się co rok — po kilka i każdy z godnym poparcia celem. Dlaczego na ten właśnie — harcerski — kładziemy nacisk szczególny. Bo zorganizowany był pod trzema hasłami, które powinny być jak słupy — drogowskazy całego społeczeństwa.

1) Samopomoc. 2) Popieranie przemysłu krajowego. 3) Ścisłe zespolenie w pracy i poświęcenie części własnych interesów na rzecz całości. To znaczy — że 32 drużyny stołeczne i kilka drużyn prowincjonalnych, które brały udział w kiermaszu, postanowiły przeznaczyć bardzo znaczny odsetek dochodów — każda ze sprzedaży swoich własnych wyrobów — dla zasilenia chorągwi, t. j. ogniska harcerstwa żeńskiego.

Gdy w kraju szaleje warcholstwo, gdy nad interesami państwa górują interesy partyjne, gdy mimo nędzy, bezrobocia, zastoju w handlu i braku gotówki sprowadzamy masami towary zagraniczne — młodzież nasza uczy nas, którą idź trzeba, żeby wybrnąć z manowców.

A może kiermasz harcerek był tylko bluffem, jak tyle innych — czczą, pustą reklamą?

Od progu już nastrój „bajecznie kolorowy“ rozwiewał wszelki sceptycyzm. Setki oczów dziewczęcych, patrzących prosto i szczerze, przeczyły kłamstwu. Każdy haft, każdy misterny abażur, każda wycinanka, każdy pajak, drżący u sufitu, jak sto barwnych motyli na dźbłach słomek cieniuchnych — to była praca rąk własnych tych rzesz młodzieńczych, które stanęły, — każda na terenie swoich osobistych pokazów, żeby objaśniać, oprowadzać, wskazywać co ładniejsze i uśmiechać się przytem pogodnie, serdecznie, ufnie. Te gromadki przyszłych s'łaczek wiedzą, że mają kochać, tylko kochać, bo nieważność burzy to, co miłość zbuduje.

Więc prawda, radość i uczucia przyjaźni były na tym kiermaszu. I nic, coby wyprowadziło jeden grosz poza Polskę. Nic, coby na każdym kroku nie stwierdzało harmonji, zgody, łączności. Druhowie uwijali się z lampkami elektrycznymi, zawieszając je w kątach sal, żeby świeciły radośnie. Orkiestra harcerska grała od ucha do ucha. I s'pływały „chwile kolorowe“. I zatracali się w nich mrok odmetów jutra, pojutrze...

W wirze gwaru i ruchu rozmawiałam z jedną z tych gorących przyjaciółek młodzieży i tych fanatycznych prozelitek harcerstwa, które w niem jedynie widzą zorzę Polski.

— Hart, wola, zrozumienie zadań obywatelskich — gdzie spotykamy je pozatem? — Pani wie — harcerstwo nasze zamierzało urządzić wielką zbiorową wycieczkę zagranicę w lecie 1925 r. Przez cały rok zbierano grosiaki. A marzeń i radości nie było granic. Wtem — z wiosną — zakaz. Nie wolno wyjeżdżać z kraju, bo nie można wywozić pieniędzy. — Bez słowa buntu, bez pomruku skargi, zostało harcerstwo na miejscu — tysiące, jak jeden. — A nasi katoni, nasi cerberzy praw obowiązujących i uczuć

patryjotycznych... Czy był kął nad oceanami, albo w dolinach podalpejskich, gdzieby się ich nie spotkało?..

Rozmowę naszą przerwał gwizdek przeciągły — sygnał harcerski — powitanie długoletniego prezesa zarządu harcerstwa, wiceministra skarbu, który wszedł w tej chwili. Żołnierski raport komendantki. Krótka mowa wiceministra. Głośne „Czuwaj!“ i oprowadzenie gościa dostojnego po salach z okazami.

A my rozmawiamy dalej.

— Rok 1925 zaznaczył się dla harcerstwa naszego faktem niebywalej doniosłości — opowiada pani Marja Cz. z dumą. Powstała I Szkoła Instruktorska. Czy nie cud? Gdy rząd zamyka najpotrzebniejsze uczelnie, — gdy giną z widowni świetnie prowadzone preparandy, gdy zawieszona jest w uniwersytecie Wileńskim Wydział architektury, którego absolwenci mieli zabudowywać kresy wschodnie, gdy niema pieniędzy na placówki szkolne w Gdańsku i na kresach zachodnich, — wyrasta nagle, jak z pod ziemi, w Sromowicach Wyznich nad doliną Dunajca o 4 kilometry od Czarsztyna, a 25 od Nowego Targu wielki gmach piętrowy na mocnym podmurowaniu z oknami na wszystkie strony świata. Jedna wielka izba parterowa przeznaczona jest na szkołę dla dzieci okolicznych, które zimą ma uczyć Druhna Oleńka.

Kto jej nie zna? Kto nie wie o niej?..

„Młodzież — gdy gorąco czegoś pragnie, gdy całą mocą swej woli rozпали myśli starszych — wówczas precudne, przepiękne potrafi stwarzać dzieła“ — pisze p. T. Uhma w Nr. 19 „Harcera“ z 1925 r.\*).

Pragnienia młodzieży skupiła w sobie, jak w sercu soczewki, D-na Oleńka, jedna z najpierwszych polskich harcerek, której nazwisko — w dziejach skautyzmu naszego — zostanie na zawsze. Dźwiga ciężary nie na ludzkie siły, stwarza rzeczy, przerastające możność jednoski. Przed niczem się nie cofa i nigdzie nie widzi trudności. Wie — jest duch, który czuwa nad nią — duch człowieka bezgranicznie kochanego, który zginął w ofierze dla innych. Więc każda jej myśl, jak płomień błękitny, zarzewiem czynu idzie, z duszy do dusz. Idzie i wraca do niej..

Jak kwiat paproci w noc Świętojańską, wystrzelił na 500 mtr. wzgórzu Dom Szkoły. Czego w nim nie ma? Pokoje, balkony, schówki, spiżarnie i wielka piwnica, i duża widna kuchnia, izby łowiczkie z pasiakami, wełniakami, pajakami u pułapów, i strych olbrzymi, gdzie w r. 1924 mieszkał obóz roboczy i gdzie — przed burzą — chronią się obozy miejscowe. Jest widok na łąki, góry, doliny. Jest nadewszystko radość dokonanego czynu.

Co można było zrobić, pomagając siłom fachowym, to zrobił przy budowie domu obóz roboczy harcerek. Noszono wodę do wapna, pokostowano ściany, kitowano okna, przybijano, zawieszano, ozdabiano. Pracowano w ogrodzie i na łąkach przy sianokosach. „Kaźda zobaczy tu kiedyś kawałek swojej roboty“. A Druhna Oleńka — dusza i przyczyna wszystkiego — stwarzać będzie dalsze, coraz nieprawdopodobniejsze dzieła, bo źródło jej siły i zamierzeń poza światem spraw, potrzeb, wymagań osobistych, a bodźcem czynu — wiara, że w młodzieży naszej przyszłość nasza.

C. Walewska.

\*) W tymże samym Nr. jest opis I Szkoły Instruktorskiej R. Adamowiczówny.



## ZADANIA ADWOKATEK

W roku ubiegłym w 45 N-rze „Bluszczu”, w art. p. t. „Czy nie paradoksalne” — pani C. W. mówi o sprawie, której się podjęła jedna z naszych pierwszych adwokatki, p. J. Sokołowska.

Pani Sokołowska broniła człowieka, stojącego pod zarzutem morderstwa, popełnionego na młodej dziewczynie, którą uwiódł.

Sąd okręgowy skazał obwinionego na 10 lat więzienia.

Pani C. W. w końcu swego artykułu rzuca pytanie: „Czy od takich spraw powinny zaczynać karierę pierwsze nasze adwokatki?”

Odpowiedź p. Sokołowskiej na art. p. C. W. podajemy poniżej. (Przyp. Red.)

Dopiero obecnie doszedł do wiadomości mojej artykuł p. C. W., zamieszczony w Nr. 45 „Bluszczu” p. t. „Czy to nie paradoksalne”. Atak osobisty, acz z sympatycznych pobudek płynący, oraz poruszenie kwestji zasadniczej, zmusza mnie do odpowiedzi.

Jakie stanowisko zajmuje adwokatka wśród palestry polskiej? Z punktu widzenia prawnego i faktycznego adwokatka jest pełnoprawnym członkiem palestry i jako taka nie podlega żadnym restrykcjom. W myśl statutu ma być ona rzecznikiem prawa i słuszności, oraz poświęcać się obowiązkom swym z całą gorliwością i sumiennością, mając przytem na względzie dobro publiczne.

Przyświecać jej powinien ideał wykrycia prawdy materialnej, oraz szczerne zadanie, szczególnie zaś w procesach karnych, niesienia pomocy prawnej wszystkim tym nieszczęśliwym, którzy z tej, lub innej przyczyny znaleźli się w kolizji z normami, stojącymi na straży ładu społecznego.

Pani C. W. w artykule swym zaleca adwokatkom ograniczenie się li tylko do występowania w sprawach o dochodzenie ojcostwa, równouprawienie dzieci nieprawych, oraz do obrony matek nieślubnych. Z zestawienia powyższego jasnym jest, że jest to otwarta i wdzięczna dziedzina działalności dla prawniczek, lecz raczej na polu politycznym i ustawodawczym, anizeli sądowym. I niewątpliwie tu stanowisko wszystkich kobiet jest i będzie solidarne i zakres pracy jest jeszcze bardzo wielki.

Natomiast inaczej kwestja przedstawia się na terenie procesów sądowych, a zwłaszcza karnych.

Jak nie do pomyślenia jest fakt, aby kobieta-lekarz odmówiła swej pomocy choremu z tej tylko racji, iż jest mężczyzną, tak też i kobieta—adwokat z tej jedynej racji pomocy prawnej nie odmówi, co więcej odmówić nie może. Nadto byłoby to właśnie dobrowolnym ograniczeniem praw kobiet i tak już, wbrew wyraźnym przepisom Konstytucji, wielce uszczuplonych.

Nie przeczę, że istnieją sprawy więcej, lub mniej pociągające dla obrońcy i że niektóre budzą wprost grozę i odrazę, że jest nawet pewna kategoria spraw, nadających się, zdaniem moim, jedynie do obrony z urzędu. Ale w każdym poszczególnym wypadku należy pozostawić kwestję podjęcia się obrony—sumieniu danego adwokata, lub adwokatki.

Sumienie i jedynie sumienie adwokata winno tu rozstrzygać!

Nasuują się tu piękne myśli, wypowiedziane przez wielce cenionego Henri Robert z Akademii Francuskiej znakomitego adwokata i batonnier w Paryżu, w jego książce „L'avocat”. Mówią, jak można oddawać swój talent na usługi zbrodniarza, którego przestępstwo budzi odrazę? Jak można poświęcać swą wymowę na wyrwanie przestępcy z karzącej ręki sprawiedliwości i uchronienie go od zasłużonej kary? „Pour raisonner ainsi, il faut n'avoir jamais vu de criminels de près. Il faut considérer la vie d'une manière purement théorique, et classer, a priori, les humains en honnêtes gens et en fripouilles”.

A więc p. C. W. w każdym konflikcie dzieli społeczeństwo na uczciwe, godne szacunku i zawsze pokrzywdzone niewiasty i zbrodniarzy—mężczyzn, godnych jedynie pogardy. Mais l'humanité n'est pas si simple!

Nadto mężczyzna ten nie jest prawie nigdy odosobniony. Za nim stoi i z nim cierpi jego rodzina, jego matka, siostra, żona, córka, narzeczona, niewinne dzieci, które z trwogą oczekują wyroku, stanowiącego o całej ich przyszłości.

A jakżeż kwestja się przedstawia, jeżeli cały wielki gmach oskarżenia opiera się jedynie na poszlakach, jeżeli niema niezbitych dowodów winy, jeżeli okaże się później, że zapadły wyrok skazujący był jedną z tych strasznych omyłek sądowych? A że bywają omyłki sądowe, jest to przecież rzeczą powszechnie wiadomą.

Czy i wtedy p. C. W. będzie stała na nieprzejednanem stanowisku, że skoro oskarżonym jest mężczyzna, a domniemaną jego ofiarą kobieta, — adwokatka obrony podejmować się nie powinna.

Przechodząc do konkretnego wypadku podjęcia się przezemnie obrony Piotra Michalika, zaznaczyć muszę, że byłam w tem szczęśliwym położeniu, że od początku do końca zmuszonym procesowi trwałam i trwam dotąd w przekonaniu o całkowitej niewinności oskarżonego. Oskarżenie Michalika opiera się jedynie na poszlakach, zaś wyrok I instancji, jako nieprawomocny, winy jego jeszcze nie przesądza. Gdyby nawet przypuszczać najgorsze—a mianowicie, że wszystkie instancje go zatwierdzą—to i w takim razie nie jest jeszcze wykluczone, że po upływie pewnego czasu ujawnioną zostanie jakaś nowa okoliczność, która spowoduje rewizję procesu i oczyszczenie Michalika z zarzutu dokonania zbrodni. Tam, gdzie niema niezbitych dowodów winy, gdzie są jedynie poszlaki i na nich oparte domniemanie—nie są wykluczone żadne możliwości, to też nie tracę nadziei, że i Michalik powróci na łono rodziny, jako człowiek uczciwy i nieskalany piętnem zbrodniarza. A o niewinności jego przekonana jest niezłomnie i gorąco jego kochająca żona, która przez 15 lat małżeństwa nie miała powodu do oskarżania się na swego „gospodarza” i która dochowała się z nim pięciorga dzieci, oraz stara matka i reszta rodziny.

Wreszcie dodam tylko — wątpię, aby p. C. W. miała kiedykolwiek okazję do postawienia konkretnego zarzutu, że zna taką pokrzywdzoną, której kobiety—adwokatki pomocy odmówiły. *Jantina Sokołowska.*



# NASZ DOM

W PRUSZKOWIE, PRZY ULICY CEDROWEJ № 12.

Ta Cedrowa, to cicha, wąska uliczka w pobliżu dworca, a Nasz Dom zajmuje małą piętrową kamieniczkę całą od góry do dołu. Kamieniczka składa się z poszczególnych małych mieszkań — stąd Nasz Dom zawiera w sobie mnóstwo przedpokoiów, sionek, korytarzyków, kuchenek i małych pokoi. Ani jednego większego, ani jednej salki, w którejby dzieci mogły się razem zgromadzić. Wciąż muszą się rozsypywać małemi gromadkami po kuchenkach i pokojkach.

W pokoju jednej Pani chłopcy mają warsztat stolarski.

W pokoju drugiej Pani — introligatornię.

Nie mają gdzie się rozłożyć z robotami, z ry-sunkami, z farbami i pędzlami, z klejeniem pudełek.

Wszystko trzeba dusić w skrzynkach, pakach, przekładać z miejsca na miejsce, z rogu stołu na komodę i z komody na stolek. W ciągłej ciasnocie, w ciągłej walce z brakiem odpowiedniego miejsca, żyje kilkadziesiąt dzieci i kilka osób personelu. A w dodatku w walce z ciągłym brakiem pieniędzy.

Że Zakład Wychowawczy dla ubogich dzieci walczy u nas z trudnościami finansowymi i wciąż żyje pod grozą, że już chyba dłużej, jak miesiąc, nie wytrzyma, nie wytrwa — to chyba nikogo nie dziwi. To zjawisko zwykłe. Ale zato cały ten Nasz Dom jest zjawiskiem tak niezwykłym, że warto się nad niem zastanowić. I to bardzo głęboko.

Bo pomyśleć tylko: miejsce, w którym się wychowuje dzieci, a w którym te dzieci nie dokuczają wychowawcom, a wychowawcy na dzieci nie krzyczą. W którym nie ścierają się odwieczne rozbieżne interesy ludzi małych i ludzi dużych. I w którym praktykowane dotąd przeciwdziałanie zastąpione jest przez współdziałanie!

„Karność zastąpić pragniemy przez ład, przymus przez dobrowolne przystosowanie się jednostki do form życia zbiorowego, martwy morał zmienić chcemy w radosne dążenie do doskonalenia się i samozmagania...

...Nie urabiać i przerabiać, a zrozumieć i po rozumieć się chcemy z dzieckiem, pomóc do odrodzenia niewolniczej, żebraczej jego duszy, do odrzucenia brudu, który przeniknął i opanował dzieci, jako zaraza dorosłych“...<sup>1)</sup>

Takie jest założenie. A jakto wygląda w praktyce? Przyjrzyjmy się.

O szóstej rano rozpoczyna się dzień w Naszym Domu. Dzwonek na wstawanie.

Nie wszyscy wstają. Kto chce, może jeszcze pospać, poleżeć i dopiero w ostatniej chwili się ubrać, byle zdążyć na śniadanie. Przymusu niema. Nikt nie nagli. A jednak większość dzieci zrywa się od razu, na pierwszy odgłos dzwonka. Dlaczego? Bo wpisały się na „listę siły woli“, na „listę wczesnego wstawania“.

Wpisały się dobrowolnie — nowicjuszom nawet odradzano, żeby się nie śpieszyli, żeby porachowali się najpierw dobrze z siłami, czy podołają?

Po trzech miesiącach oblicza się ranne wstawanie; umowa jest taka, że 5 razy wolno nie wstać od razu. Ale tylko 5 razy. Kto wytrwał w postanowieniu i zrywał się natychmiast po dzwonku dostaje pamiątkową pocztówkę.

Więc tak wygląda wstawanie — fatalna chwila, która nieraz kładzie na cały dzień cień smutku

i niezadowolenia z siebie. Boże, jakie się nieraz dzieją a wantury przy wstawaniu... przecie wszyscy wiemy...

A teraz praca.

Wszystkie stałe zajęcia (z wyjątkiem pracy kucharki i stróża) ujęte są w dyżury.

Dyżury są dobrowolne. Każde dziecko wybiera je sobie na przeciąg miesiąca.

Józek ma dyżur w sypialni. Sprząta niedbale, zostawił śmiecie pod szafą, na oknie, kurz.

Wychowawczynie nie robi mu wymówek, nie mówi wszystkiego tego, co się zwykle mówi w takich razach: „Znowu śmiecie pod szafą?... ty zawsze wszystko robisz byle zbyć... Że też ty nigdy nie możesz nic zrobić porządnie“.

Więc tu wychowawczynie nie potrzebuje tego mówić, tylko zapisuje go na „listę drobnych uchybień“. — W gorszym wypadku na „listę spraw“. „Ty zawsze“, i „ty nigdy“ — staje się zbyt ciężkie, zastąpione jest przez datę i cyfrę.

Marysia ma dyżur w jadalni. Wyciera naczynie, sprząta ze stołów. Stefek — dyżur przy kwiatkach. Janek przy myciu okien.

Po miesiącu dyżurna sekretarka oblicza, ile każdemu dyżurnemu należy się punktów (dni pracy), przyjmując za jednostkę dyżur w sypialni — 30 punktów. Gdy uzbiera się 500 dni pracy — dyżurny dostaje pamiątkową pocztówkę pracy. Jeśli dyżury odrabiał źle — wytrącają się punkty — wychowawczynie może je wytrącić podług listy drobnych uchybień. Ale prawie nigdy do tego nie dochodzi. Niema potrzeby.

Bo Józek sam wytrąca sobie pewną ilość punktów za niedbale sprzątanie.

Marysia również wytrąca sobie 5 punktów, choć nie ma żadnych uchybień.

— „Kilka razy byle jak wytarłam naczynie. Śpieszyłam się. Nie miałam uchybień, bo nikt nie widział, że źle wytarte było“.

Janek i Stefek nie wytrącają sobie nic, bo umyte liście i kwitnące pelargonje aż się śmieją na jasnych szybach. Ale zato mały Józio:

— „Znów będę musiał sobie wytrącić. Miałem dwa dyżury: zamiatanie parteru z rana i przed południem. Z rana sprzątałem porządnie. Przed południem najczęściej byle jak, wrócić późno ze spaceru, obiad zaraz, śpieszę się, nieraz wcale nie zamiatam! Zostawię sobie za ten przedpołudniowy dyżur tylko 5.“

— Czy nie zamało liczysz? — pytają go — czysto było!

— Nie. Czysto było, bo nie śmiecili. Nie mogę liczyć więcej, bo nie warte więcej to moje sprzątanie. Za ranne sprzątanie nie wytrącam nic.“

Cóż się dzieje, gdy Witek kłóci się z Mańkiem, Karol wszystkim dokucza, Antek kłamie i ciągle przezywa, Franek pchnął Zosię, że aż się przewróciła na róg stołu, Hela zabrała cudzy scyzoryk, to znów gumę i zaklinała się na wszystkie świętości, że to nie ona?

Tak się dzieje w każdym zbiorowisku dziecięcym (i nie dziecięcym). Więc niemożliwe, żeby tu działo się inaczej. I życie wychowawców upływa

<sup>1)</sup> Dr. Janusz Korczak, twórca systemu wychowawczego, stosowanego przez siebie w Domu Serca (Warszawa, ul. Krochmalna № 72) i w Naszym Domu.



na ciągłym rozwikływaniu konfliktów, wnikaniu w wątpliwe i niejasne motywy i elementy ciągłych starć i zakłóceń spokoju.

Tu dzieje się tak samo — tylko, że wychowawca nie potrzebuje nic rozstrzygać.

— Proszę pani, on się kopie.

— Proszę pana, ona się przezywa.

— Proszę pana, on zabrał mi scyzoryk i mówi, że to jego!

— Proszę pani, ten Felek, to taki kłamczuch!

— Tak? Kopie się? kłamie? przezywa? zabiera cudze rzeczy? To zapisz go (ją) na sprawę.

A wieczorem, na ogólnym zebraniu, rozpatruje się wszystkie te sprawy.

Ilość ich oblicza się co miesiąc. Kto, kogo i za co. Wyrysowuje się wykresy spraw każdego. Z ilości spraw wynika zastosowanie takiego, lub innego paragrafu na Sądzie Koleżeńskim, który odbywa się raz na tydzień.

Oprócz tego każdy nowoprzyjęty ma swój plebiscyt. Jeden po miesiącu, drugi po roku. Wszystkie dzieci głosują: na kartce piszą +, —, lub O. Z obliczenia głosów wypada, jakie miano ma dostać nowoprzyjęty. Czy jest towarzyszem, czy tylko mieszkańcem. Czy obojętnym mieszkańcem, czy nawet uciążliwym przybyszem.

Z tych sędziów, paragrafów, plebiscytów — wynikają wkońcu rzeczy ostateczne: ostrzeżenie rodziny, pozostawienie za poręczeniem opiekuna jeszcze na jakiś czas na próbę — lub wreszcie wydalenie.

Bo osobnik, który jest dla wszystkich uciążliwym przybyszem, który wciąż ma sprawy, który źle wykonywa zobowiązania — widocznie nie nadaje się do życia zbiorowego. Jest szkodliwy.

Ale to tylko zupełna ostateczność. Bo zważcie tylko, na jakich podstawach oparty jest kodeks sądu koleżeńskiego:

„Jeżeli ktoś zrobi coś złego, najlepiej mu przebaczyć. Jeżeli zrobił coś złego, bo nie wiedział, to już teraz wie. Jeżeli zrobił coś złego, nienaumyślnie, będzie w przyszłości ostrożniejszy. Jeżeli robi coś złego, bo mu się trudno przyzwyczaić, będzie się starał. Jeżeli zrobił coś złego, bo go namówili, już się nie będzie słuchał.

Jeżeli ktoś zrobi coś złego, najlepiej mu przebaczyć, czekać, aż się poprawi.

Ale sąd musi bronić cichych, by ich nie krzywdzili zaczepni i natrętni, sąd musi bronić słabych, by im nie dokuczali silni, sąd musi bronić sumiennych i pracowitych, by im nie przeszkadzali niedbalcy i leniuchy; sąd musi dbać, by był porządek, bo nieład najbardziej krzywdzi dobrych, cichych i sumiennych ludzi.

Sąd nie jest sprawiedliwością, ale do sprawiedliwości dążyć powinien. Sąd nie jest prawdą, ale pragnie prawdy. Sędziowie mogą się mylić. Sędziowie mogą karać za czyny, które popełniają sami, powiedzieć, że złe jest to, co sami też robią.

Ale hańbą jest, gdy sędzia świadomie wydaje wyrok kłamliwy<sup>1)</sup>.

Jeżeli sąd na takich podstawach oparty, wyda wyrok zasądający — to już musi naprawdę być źle.

Bo przecież ileż jest sposobów ratunku — zanim do tej ostateczności dojdzie!

Kazik, czy też Witek, ma mnóstwo spraw. Wciąż, co tydzień, na każdym posiedzeniu. Na plebiscycie otrzymał prawie same minusy. Mianowali go uciążliwym przybyszem,

Nadchodzi chwila zastanowienia, porachunku z samym sobą. Już ma tego dość — ciągle sprawy,

sądy, sprawy... dlaczego właśnie on? Dlaczego inni dostali plusy, nazwano ich towarzyszami?

Obrzydło mu to wkońcu. Chciałby, żeby się zmieniło. Jak to zrobić?

I pewnej niedzieli Kazik staje przed wychowawcą sekretarzem. — Proszę pana. Chcę się założyć, że odzwyczaję się od kłamstwa i od przezywania. W tym tygodniu skłamię tylko pięć razy, a przezew najwyżej trzy razy.

Założyć się — z kim? Czy z wychowawcą?

Nie. Kazik zakłada się z samym sobą.

— Wiesz co, Kaziku — poważnie mówi pan — możebyś wymówił sobie więcej na ten pierwszy tydzień, na przykład osiem kłamstw? Bo to trudno tak od razu...

— Nie, nie, proszę pana. Już ja się dobrze namyśliłem. Ja wiem, że trudno, ale pięć razy wystarczy.

Uda się — Kazik dostaje dwa cukierki — jako symbol pierwszego zwycięstwa nad sobą. Wygrał! Teraz założy się na przyszły tydzień, i wymówi sobie tylko trzy kłamstwa, i znowu wygra! A potem zupełnie się odzwyczai, i wszyscy będą mu wierzyli, tak, jak Marysi, jak Stasiowi... przestanie też przezywać, dokuczać i wszyscy inaczej będą nań patrzyli...

Nie uda się? — Trzeba znowu próbować — wymówić sobie więcej razy. Dużemu Wackowi też nie od razu się udało, a przecież dopiął wkońcu swego... i został uznany za towarzysza...

Zakładają się wszyscy, starsi, młodzi. O różne złe przyzwyczajenia. Czasem nie wyjaśniają o co. Co pewien czas oznajmiamy radośnie: już nie potrzebuję, oto, już się odzwyczaiłem...

Co niedziela rano przed śniadaniem odbywają się te zakłady. Niektórzy głośno przy świadkach — inni znów cicho, w tajemnicy. Wychowawca odgrywa tylko rolę sekretarza. Rzecz toczy się wyłącznie pomiędzy zakładającym się i jego wrogiem.

Tym, którego chce zwyciężyć.

A na wieczornych zebraniach obok niemałej rubryki spraw — jasna i dobra rubryka podziękowań i przeproszeń.

Śliczna myśl — nie wstydzić się ujawnienia uczuć dobrych. Nie wstydzić się dobrych słów — przecież złych mało kto się wstydzi...

Co wieczór, obok spraw, odczytuje się „podziękunki“ i „przeprosiny“.

„Dziękuję pani w szkole — nie piszę, za co“.

„Dziękuję nieznajomemu chłopcu. Padał deszcz i był wiatr. Byłem rozpięty, nie mogłem się zapiąć. Powiedział: daj, potrzymam ci książki, zapniesz się“.

„Dziękuję, że cofnął mi sprawę. Już nieraz cofał, mówił, że już więcej nie cofnie, a cofnął“.

„Dał mi gwoździ. Nauczył szycić trepki. Naprawił piłkę“.

„Wytłumaczyła mi jak zrobić zadanie. Nie rozumiałem. Teraz rozumiem“.

„Przepraszam. Zły byłem. Brzydsko ją przeważałem“.

I tych podziękowań, tych dobrych słów jest o wiele więcej, niż spraw.

Tak mniej więcej w głównych zarysach wygląda to zbiorowisko dziecięce. Nie dorośli stanowią w niem nakazy i zakazy, lecz samo życie gromady. Nieposzanowanie ich obraca się zaraz przeciw samemu winowajcy, gdyż podstawy tych nakazów i zakazów tkwią jaknajgłębiej u samych podstaw równowagi życia zbiorowego.

Helena Boguszewska.

<sup>1)</sup> Dr. Janusz Korczak.





MARJA MORSTIŃ-GÓRSKA.

### *Słodką jest dzisiaj ma dusza.*

*Słodką jest dzisiaj ma dusza,  
jak owoc na słońcu rozcięty,  
pełną siły życiodajnej, świętej,  
wyrosłej w miłosnej glebie  
pełną Boga i siebie...*

*Gdyż Bóg, co mówił do mnie głosem burzy,  
dostojnym, spokojnym drzew szumem  
i liter ściśnionym tłumem  
z kart starej dziwacznej księgi—  
co patrzył na mnie z pod chmurnego czoła  
złotem okiem na niebie wzniesionem  
i liściem różnolicie zielonem,  
błękitem, co wody móż wzdyka,  
dziś mnie twem słowem miłującym woła,  
dziś twojemi na mnie spojrział oczyma!*

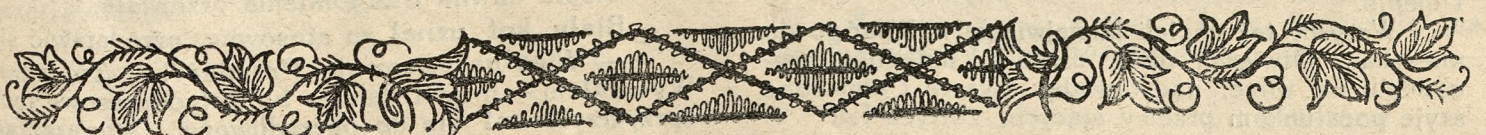
### *Willa.*

*Willa na krańcach miasta pod dachem czerwonym  
przykucnięta, jak gdyby złej bała się zdrady—  
kryje się w szeleszczące i rozchwiane sady,  
jak muchomor ogromny w miękkie mchy wtulony.*

*Nie obchodzi ją ulic dalekich wrzawa skłębiona,  
ani ją przerażają turkoczące po szynach tramwaje,  
Zgiełk i tłum tam u kraty ogródka zostaje,  
ona stoi w wewnętrznym życiu swem skupiona.*

*Wysłuchana w szept swych księżek zdobnych w lśniącą skórę,  
w senne, zaczarowane na obrazach wody  
i w echo pocałunków naszej miłości młodej,  
co pośród ścian się błąka i drży słodkim chórem.*

*Nie jest jak serca ludzkie, które czas odmienia—  
pozostała ta sama, zaciszna i jasna  
willa, — wyspa rzucona w szumne fale miasta,  
świat, stworzony na miarę jednego wspomnienia,*





ZOFIA DĄBROWSKA

## K O T Y



Był kot czarny o matowej szerści, o złotych oczach, w których płonęło słońce. Nazywał się Promień. Należał do pewnego studenta, który mieszkał na drugim piętrze. Lubił spać na zakurzonych książkach, wyglądać oknem na podwórze i długo wpatrywać się swemu panu w oczy, gdy ten zajadał kolację. Wieczorami student długo myślał. Lampa się paliła. Srebrne obręcze świateł opasywały blade ściany. Meble wydłużały się wówczas, stawały się spiczaste o ostrych konturach. Profil szafy nawet przybierał wyraz zadowolonego zbrodniarza. Czarny kot, zgąwszy grzbiet w łuk, schodził ze stosu książek. Sztwymi łapami stąpał powoli, włożył na kolana pana, a potem na jego ramię. Tam się wygodnie układał. Student zdawał się wcale nie dostrzegać kota. Myślał, zapatrzony w zezowatą lampę. I tak było co wieczór.

Był i drugi kot — Kaprys. Biały, jak śnieg. Oczy miał zielone, zamieniające swą barwę w słońcu na niebieskie. Nosił różowy krawat na szyi i całymi dniami wylegiwał się na kanapkach. Czasem leżał wtulony w barwne, malowane poduszki, a czasem znów dla różnorodności — rozciągał się niedbale na framudze pieca. Spokój i ciszę przerywała mu jego pani. Wpadała nieraz gwałtownie do pokoju zaróżowiona, zadyszana, srebrnym śmiechem pobrzękująca.

— Kici, kici... mój Kaprysie, moja wata mruzczał...

Przyciskała kota mocno do piersi, stawiała go na tylnych łapach, trzymając rekami za przednie i tańczyła. Kaprys miał ruchy bajadery. Leniwe miękcie, okrągłe. Zmęczony miauczał i wyrwał się.

— Idź, idź, już sobie, ty drapieźniku paskudny, mówiła.

Sama biegła do lustra, mrużyła oczy, poprawiała włosy, przechylała się. Kaprys widział wówczas, jak jej błyskały piersi z za sukni.

Wkrótce różowy obłok znowu nad nim zawisał.

— Powiedz mi, mój Kaprysie, kogo ja mam właściwie kochać... albo nie — albo nie... czy ja koniecznie muszę kogoś kochać?

Przecież i tak dobrze.

Jeden ma ładne usta i zęby — to dobrze z nim się całować, inny ma oczy — żebyś wiedział jakie oczy... no takie, że jak się spojrzy, to jakby złoty prąd przedzierał się z mózgu do ciała ostremi iskrami. Najlepiej wszystkich — prawda, kiciuchna? I ciebie też Kocham!...

Szeptala jeszcze bezładnie, aż przypomniawszy sobie coś, odlatywała w szumie różowych materyj.

Kaprys ziewał po wizycie i zasypiał na ulubionej kozetce.

Pewnego dnia słońce wyległo na dachy, chodniki, ulice. Było żółte, pachnące, miękkie, soczyste i ciepłe.

Wszyscy też chcieli jaknajwięcej nałapać go do mieszkań. Otwierali okna, drzwi od balkonów, wychodzili na ulice, nadstawiając twarze i obnażone szyje pocałunkom przemijających, żółtych fal.

Koty usiadły w oknach, umieszczonych vis à vis. Złote promienie oczów zczepiły się z niebieskimi, tworząc pośrodku podwórza zawieszoną, tęczową gwiazdę, jakby z najprzezroczystszego szkła. To było pierwsze spotkanie. Od tej pory, gdy tylko słońce różowe płachty zawieszało na murach i w łagodnej linii topniało w skrawkach na asfalcie — siadały każdy w swem oknie, śledząc opuszczanie się cieplej opony. Myśli wysuwały się lekko, niedostrzegalnie i uśmiechnięte leciały srebrnym korytem przez błyskotliwe wstęgi świateł, w pola jasności i ciepła. Szumiały morza barw gorących, płynęły obłoki purpury, jak okrągłe, wzdęte baloniki na pomarańczowej pianie nieba.

Gdzieś w szafirowej kotlinie tańczyły ognie, poruszając rytmicznie rozsuniętymi wachlarzami lun wokoło zawieszzonej, lekko rozbujałej amplii słońca. Zupełnie wyraźnie słychać było chrzęst krążących słupów z rozpiętymi parasolkami błyskawic przed lśniąca banią, najeżoną kolcami blasków. Naswcone krwią słońca światło szumiało w polach, połyskiwało wszwstkiemi barwami tęczy, rozsypując rozedrgane iluzje daleko... daleko... w szarość... w ciszę...

A złote mgły płynęły, płynęły, przesuwały się lekko, aż rozwiewały się zupełnie. Z bramy i sieni wyskakiwały wtedy na podwórze cienie, tłoczyły się, cisnęły, przypierały do murów, rosły i zasłaniały okna czarnym ciałem.

Koty przeżyły się, białe łuski świateł strząsały z oczów i spływały bezszelestnie w mrok pokoju. Sztwne palce chłodu wczepiały się w ciepłą jeszcze szerść, meble pojękiwały, lub spazmowały nawet, a zapach martwoży rozkładał się wszzechwładnie, tłumiąc te ledwo dosłyszalne dźwięki. Odruchy wstrętu wstrząsały ciałami kotów.

Rzeczywiście mieszkanie przedstawiało się o tej porze bardzo brzydko.

Czarna krepka zmięzchu okrywała nieomal wszystkie wyraźniejsze kontury, a siwe plamy świateł, z sąsiednich okien zbłąkanych, pełzały leniwie. Promień nie układał się już na ulubionym stosie książek, lecz, przysiadłszy przed drzwiami, przerywał ciszę monotonnym miauczeniem.

Wciągu tygodnia wiosna się rozszumiała.

Szeleściła pękami świateł i rozrzucała je kapryśnie tu i tam. Czarne i lepkie chodniki od błota błysnęły złotą łuską. gdzieniegdzie zaś wytrysnęły lśniąca lustra. Wiatr je jednak krajał i rozpryskiwał.

Właśnie przed murem domu przechodził czarny kot. Przesuwał się ostrożnie, gdyż liczne kałuże wyskoczyły z pod ziemi i jak tysiączne oczy kołysały się w siwych rżesach nieroztającego śniegu. Nagle usłyszał za sobą miauczenie. Biały kot szedł za nim, strząsając co chwila z łapek brudne kropelki.

— Miau — miau...

Ciepła chwila oszołomienia przewiała.

Biały kot uznał za stosowne przedstawić się.

— Więc nazywasz się Promień?! — To ładnie! Wyszedłem — mówił dalej — bo dotychczasowe życie sprzykrzyło mi się do obrzydliwości. Wyobraź so-



bie codzień to samo. Te same meble, jedzenie, wizyty. Moja pani wprowadziła perfumowała mnie, czem zyskała sobie moją sympatię, ale była krzykliwa, jak stado wróbli i po jej wyjściu z pokoju z pół godziny jeszcze drżały meble ze zdenerwowania. Przytem złoty ogień, który wpadał oknem do pokoju, tak mi się podobał, że nabrałem chęci obejrzenia tego ogniska na podwórzu. Lecz tu nie jest ani tak ładnie, ani przyjemnie, jak sobie wyobrażałem — skończył, miaucząc.

— Twoja historia życia, Kaprysie, jest bardzo podobna do mojej. Uciekłem od pana w poszukiwaniu złotych ogni. Lecz wiem z ksiązek, że to wielkie ognisko jest daleko. Trzeba minąć bramę i przejść trzy, lub cztery ulice. Ludzie chodzą do tego ogniska, zbierają czerwony chrust, chowają do pudełek, a potem w lampy kładą.

— Jesteś bardzo mądry i wykształcony. Uważam za szczęście dla siebie poznanie takiego kota. Będę się ciebie słuchać we wszystkim i z rad korzystać, chociaż, Promieniu, wyglądasz, jakbyś był moim cieniem.

— Owszem, podobny jestem do twego cienia.

— Promieniu to jednak daleko jest i dużo czasu trzeba, aby przejść trzy, lub cztery ulice. Lecz chodźmy, postanowione.

Noc się zbliżała.

Koty wyszły na ulicę. Ludzie zrzaka przechodzili. Latarnie były zamyślane i smutne. Słup na rogu w podartej, jaskrawej sukience z papieru śpiewał sentymentalnie wyuzdaną piosenkę ulicznic. Domy spały przeważnie. Niektóre tylko czuwały, różowemi mrugając oczami.

Koty przesuwały się wzdłuż muru bez szelestu. Wkrótce zaczął padać deszcz. Grube, zimne krople ścinały krew. Kaprys przystanął.

— Już dalej nie pójde — omdleam ze znużenia.

— Chodź, chodź, niedaleko już.

Przesuwały się szybciej teraz. Serca łomotały w piersiach. Kaprys, biegnąc zmoczony, chwilami zapominał, gdzie się znajduje. Miał wrażenie nawet, że śni, leżąc na kanapce.

Na szczęście zaczęło się rozwidniać. Na niebo wyskakiwały niebieskie i seledynowe pałasze w różnych rekojeściach.

— Ależ jesteśmy głupcami — przerwał ciszę Promień — przecież my w odwrotnym kierunku biegniemy. Kaprys obejrzał się. Pół nieba okryte było szkarłatnym rumieńcem.

Bezpożytecznie straciliśmy siły... wracajmy, deszcz nie pada.

Kaprys zmęczony, zachlapany błotem, stąpił naprzód. Ciemna niebieskość zsuwała się z ulic. Domy kanciastymi bokami zarysowywały się wyraziście, choć na dachach jeszcze leżała rozpylona w srebro noc.

— Domyślasz się, Kaprysie, jak dobrze musi być przy słońcu?

— Pewnie jest czerwono i ciepło. Wogóle pomimo wielkiego zmęczenia nie żałuję, że uciekłem. Dziwię się nawet, jak mogłem, tak długo żyć w pokoju, gdy tam złote ognie rosną.

Koty spotykały teraz często przechodni. Były to przeważnie przekupki, spieszące z koszykami na targ.

— Za tym... za trzecim... piątym domem... za rogiem musi być plac z rosnącym słońcem — mruzczał Promień.

Nagle koty drgnęły.

Ktoś wołał: kici — ci — ci — kici — ci — ci...

Kaprys cofnął się w bok, lecz przed nim stała już ogromna kobieta, a właściwie trzy kule ułożone na sobie, z których największa była na spodzie, a najmniejsza na wierzchu. Z tej ostatniej wydobywał się gruby głos: — a to bestje się włóczą... czekajcie, pójdziecie wy do mnie na pokutę, na myszki. W sam raz się przydadcie.

Wtedy z środkowej kuli wydobyły się dwie, grube łapy i chwyciły Kaprysa za grzbiet, potem zaś to samo zrobiły z oszołomionym Promieniem. Kilka kobiet stanęło.

— Przydadzą wam się do sklepu — rzekła jedna.

— Gdzież tam — odpowiedziała sklepikarka, potrząsając zwierzchnią kulą — do piwnicy zapakuję.

Wsunęła obydwie koty do koszyka, nakryła ciężką chustką i zawróciła z powrotem. Niedługo weszła do żółtego, obtluczonego domu, stanęła do sieni, otworzyła drzwi od mieszkania, stanęła w progu i zdjęła klucze, zawieszane na gwoździu, jak i obok wiszącą lampkę.

Wyszła zaraz, trzasnęła drzwiami, potoczyła się po ciemnych schodach do piwnicy.

Tam stały brudne, brzuchate beczki, rozepchane koszami wory, kadzie obrzynie, z których wychylały się omszone, zielone kamienie. Na półkach ustawione były w szeregi słoje, nakryte białymi, papierowemi czepkami, gąsiory przysadziste.

Sklepkarka usunęła chustkę, pochyliła kosz, mówiąc:

— Wyłaście kociury! —

Koty wyskoczyły szybko na leżące pokotem w kącie piwnicy drwa.

Piramida zaś z trzech spiętych, kul potoczyła się z powrotem, zamykając za sobą drzwi.

Wiele upłynęło czasu od owego zdarzenia. Trudno kotom było przywyczaic się do nowego trybu życia. Teraz jednak czuły się zupełnie zadowolone. Utyły, spoważniały. Złowione myszy nierównie lepiej smakowały, niż wszelkie inne mięso.

Od czasu do czasu włączała się gospodyni, z światłem w lampie, które rozrywało osadzone czarności. Przekładała kaszę z worków do mniejszych woreczków, zabierała je z sobą, lub też nowe produkty rozstawiała. Nie zapominała nigdy przynieść miseczkę z mlekiem, lub krupnikiem.

Promień po takich odwiedzinach normalował swój nowy pogląd.

— Tak, tak Kaprysie; — słońca niema. To, cośmy brali za nie, było tylko wielką lampą, którą ludzie wynosili na najwyższy dom, żeby rozprowadzać równo światło. Ten czas nazywają dniem. Gdy się już dość naspacerował, nakrzyczeli — zdejmowali lampę. Każdy brał z niej trochę ognia i zanosił do swego mieszkania. Kaprys przeczył zwykle.

— Tamto światło, co wchodziło oknem, było przejrzyste, jasne, inne, aniżeli w lampie gospodyni.

— Tu się właśnie okazuje twój brak pamięci — kończył zwykle rozmowę Promień.

Koty siadały na obielonych workach. Spoglądały na błyszczące słoje, napełnione tajemniczymi płynami. Światło oczów przenosiły z jednego na drugi. Promień ociążało ciało rozkładał wygodnie i mruzczał zadowolony:

— Życie tu jest jednak znośne.

— Owszem, tak — potwierdzał, śpiący Kaprys. Zasypiał zaraz, myśląc jeszcze, że Promień ma pewno słusność: słońca niema.



MARYA JEHANNE WIELOPOLSKA

## NUWOPOWRY

(Fragmenty sztuki w III aktach, nabytej przez Teatr Nowy w Poznaniu).

## TYTUŁEM WSTĘPU.

Stosunek mój do teatru obwieściłam już światu niejednokrotnie. Między autorem, a czytelnikiem nie znam innego pośrednika, jeno książkę. Tylko książka nie przeciwstawia własnej, nowej indywidualności dwóm indywidualnościom, już i tak trudno obcującym, mianowicie: indywidualności twórczej i tej odbiorczej. Owa trzecia, czwarta i dziesiąta indywidualność — owa płacząca się wzdłuż myśli autora myśl reżysera, aktora, inscenizatora, dekoratora, to wszystko są jeno ciosy śmiertelne, zadawane sadystycznie dziełu twórczemu, które jest jedno, bezpośrednie, niepodzielne, nietykalne, nieprzenośne. Człowiek kocha jednak kształt zewnętrzny i widzialny. Nawet najbardziej abstrakcyjnemu pojęciu Boga dawał od początku świata człowieków kształt, nawet modlitwie dał gest i dźwięk. Nic dziwnego tedy, że twórcza idea swoją nie wzdraga się przyoblekać nieraz w tak obcą sobie szatę teatru.

Jest to arcyłudzka zabawa.

Widz łyka wygodnie i pośpiesznie to, co sam na sam z książką byłoby twardem przeżuwaniem, nieokraszonem uciechą oczu i uszu. Autor szeroko i dziecinnie otwiera źrenice zbudzonego jaskiniowca i z cierpko-słodkim uśmiechem przygląda się temu mętnemu zwierciadłu, które ma jego obraz odbijać. A wszystkich nęka absurd tradycji teatralnej, tak starej, jak świat. Uważamy w poza podświadomych dziedzinach teatru za coś niezbędnego, kształcącego, wzniosłego — za jakiś punkt w cechach narodowościowych i międzynarodowych wyjątkowo dostojny. Pisarze nie mają gdzie swoich książek wydawać, czytelnictwo upada, wiedza upada, sztuka wszelka upada, niema stypendjów i zapomóg — ale roi się od teatrów, roi się od coraz to nowych sztuk narodowych, zagranicznych, odgrzewanych, renowowanych. W imię tej jakiejś wmówionej dostojności gwałcimy nieszczęsną publiczność i tłumaczymy jej, że jest już odpowiednio spreparowana, aby się rozkoszować Pirandelami i Zegadłowiczami. Publiczność zapełnia obowiązkowo, z miną kwaśną, a uroczystą, jedną czwartą trzech spektakli i z ukradkowym westchnieniem ulgi wraca do domu — dopiero wtedy zadowolona, tłuma, rozbawiona, ochocza, gdy idzie p. Hammelbein. POCO te gwałty i tortury, niegodne wieku dwudziestego? POCO te wysiłki daremne? Dajmyż pokój nieszczęsnej publice! Niech ma na godziny wieczorne to, czego pragnie, niech ma zabawę i wytchnienie. Ten, który łącznie istotnych walorów artystycznych i zagadnień, ten trafi do książki, do serca twórczego, zaś amatorowie Radzyminów, Gzowskich i Breszkowskich niepotrzebnie męki Tantara na Głazach i Judaszach przechodzą.

Kompromisu w książce nie uznaję. W książce autor nie może kłamać, układać się z czytelnikiem, ani jemu schlebiać — ale w teatrze niech się bawi on zabawą publiczności i niech oboje robią dobry interes *donnant donnant*...

Po myśli tych przekonań zaczęłam pisać sztukę dla teatru. Wolalabym scenarzystę filmowy — niestety Hollywood daleko, a polskie wytwórnie filmowe równają się zeru, jako źródło dochodu i radości. Więc teatr. Akt trzeci jeszcze nie gotów.

Chciałabym, aby sztuka poszła niezliczoną ilość razy, bo zapewne my, polscy pisarze, wnet dojdziemy do tego, że będziemy musieli własnym sumptem wdawać swoje książki, tak jak Upton Sinclair (dla innych coprawda powodów) w Ameryce. Potrzeba nam zatem będzie wiele pieniędzy. Za towar sceniczny, wesół, strawny i miły, niech nam publiczność łaskawie zapłaci, wdzięczna, że jej nie gnębimy eksperymentami i misterjami.

A kiedy publiczko dorosniesz do misterjów i eksperymentów (w co wątpię, bo ani chwili nie przestaję wierzyć w twój instynkt zdrowy), wtedy już dawno mnie nie będzie i w trumienec swojej cynowej, kontryfałowej zgoła obojętny mi się stanie

sposób, w jaki twórca z tobą porozumiewać się będzie! Może telegraf bez drutu? Może radio?

Dziś ze mną [mówić możesz tylko via książki moje — a via teatr, tylko się zabawić i... dobrze zapłacić.

## FRAGMENT SCENY IV, AKTU PIERWSZEGO

(Annuncjata Bromberg, Hr. Xawer Uruski).

ANNUNCJATA (wchodzi szybko, bardzo strojna. Mówi śmiałym, gardlanym głosem). Nema pani Uruskiej?

URUSKI: Jeszcze nie wróciła z towarami z Paryża.

ANNUNC: Ach, co za pechl! Tak mi śpieszno do tego nowego transportu! Muszę chwilę poczekać tu na mamę, bo inaczey nie odnajdziemy się. Mama ma tu jakiś głupi sierociniec...

URUSKI: (grzecznie, wskazując fotel). Proszę. Ale dla jakiej przyczyny nazwała pani sierociniec „głupim“?

ANNUNC: (lekceważąco). Poprosto nie lubię dróg okrężnych, a filantropja, przyzna pan, to tylko okrężne drogi egoizmu i próżności.

URUSKI: W tem myślę leży zasadnicze właśnie zwycięstwo czyścigo altruizmu, chadzającego drogą prostą, że egoizm i próżność muszą chadzać drogami okrężnymi.

ANNUNC: Vertu! ou vas tu te nicher!? (śmieje się). Czasokres ząbkowania, widzę, nie skończył się jeszcze u pana, bo normalny człowiek dzisiejszy nie zna słowa altruizm. (Siada, zapala papierosa z olśniewającej papierośnicy). Poza tem — czy mogę spytać pana, w jakim charakterze pan tu przebywa w mieszkaniu pani Uruskiej? Czyżby pani Uruska do męskiej garderoby się przerzuciła?

URUSKI: (sztywno). Pozwoli pani, że się przedstawię: Uruski, mąż jej nadwornej dostawczyni. O ile wiem, żona moja pracuje tylko w jednej branży...

ANNUNC: Och, jakże to było fachowo powiedziane! Wuj Jakób Grossglick rzekłby: „brawo, szlachta! famos! Odritterfonowujecie się piorunem“... bo podobno jesteście państwo szlachta?

URUSKI: Podobnoś.

ANNUNC: Ale najważniejsze: więc pani Uruska ma męża? Rok już tu bywam i nigdy pana nie widziałam, ani o panu nie słyszałam.

URUSKI: Wróciłem dziś z Bolszewji, po półtorarocznej niebytności, a o tych, którzy tam przebywają, lepiej nie mówić bo się nigdy nie wie, czy nie mówimy o umarłych.

ANNUNC: Jakoś pan nie umarł. Nie taki djabeł czarny, jak go malują...

URUSKI: (uśmiecha się chłodno). Pewnie. Zwłaszcza, że tam djabeł jest czerwony.

ANNUNC: (przypatruje się jemu ciekawie) Wolno spytać, dlaczegoście państwo nie uciekali z Bolszewji razem?

URUSKI: Razem uciekaliśmy, proszę pani aż na Pomorze, potem Krzysia została, a ja wróciłem do Moskwy po rozmaite zagrzebane precjoza.

ANNUNC: Były więc i precjoza? Jak w powieści Breszko-Breszkowskiego! (po chwili). Żonie pańskiej Krzysia na imię? Dziwne, że u was imiona są takie pospolite i proste, a nam każą się affublować jakimiś zapowietrzonymi imionami. Ot ja na przykład, nazywam się Annuncjata, bracia moi, Hieronim i Waldemar, matka Henrjets... Zabawne, nie?

URUSKI: Kogo pani ma na myśli, mówiąc „nam“? Jakich nam?

ANNUNC: No, powiedzmy.. nam, nuworiszom. (śmieje się). Mój brat mówi, że każda wklęśłość ma w naturze odpowia-



dającą jej wypukłość, że zatem owe imiona przeznaczone są do wypełnienia pustki przy naszych rodowodach.

URUSKI: Brat pani jest złośliwy.

ANNUNC: Słowem, jesteśmy wszyscy tradycyjni, każdy w swojej parafii. Ot na przykład pana gnała w samo piekło do Moskwy tęsknota do precjozów rodzinnych.

URUSKI: Nie, pani. Gnała mnie bardzo proletarjacka tęsknota za chlebem. Klejnoty te będą nam potrzebne do życia.

ANNUNC: Będą na sprzedaż? Może je pan pokaże?

URUSKI: (*wahając się*). Owszem, ale właściwie nie wiem, czy żona je zechce zaraz spieniężyć, czy później — a może tak dobrze idzie jej magazyn, że wcale ich nie sprzeda? (*Z sypialnego pokoju przynosi płaski woreczek płócienny i z niego wyciąga sznur pereł, naszyjnik, kolczyki etc.*)

ANNUNC: (*bardzo zainteresowana przygląda się*). Piękne, istotnie piękne. Bardzo stara, zdaje się, robota tego naszyjnika i bardzo dawno musi być w rodzinie?

URUSKI: Nie tak dawno. Od roku 1700 dopiero są w rodzinie jako wiano wniesione.

ANNUNC: Dziwny wasz sposób liczenia! U was wiek XVIII to jest jakby wczorajszy dzień. We wszystkich dziedzinach nasza matematyka się różni.

URUSKI: (*z uśmiechem*). Znowu to tajemnicze „nasze wasze”

ANNUNC: Przychodzi mimowoli wtedy, kiedy patrzę na...

URUSKI: Na co?

ANNUNC: Na, jak wuj Jakób mówi! nuwopowra.

URUSKI: W każdym razie, jeżeli się trzymać będziemy klasyfikacji systemu pani — „nasze” „wasze” — to trzeba przyznać, że wasza matematyka okazała się bezporównania lepszą...

ANNUNC: Po czym pan to sądzi?

URUSKI: (*śmieje się*). Choćby po tem, że nie może już być gorszej matematyki, jak nasza.

ANNUNC: No tak. Wyście używali liczb do konstruowania jakichś fantastycznych krzyżówek, a my do zwyczajnej tabeli procentowej. Korzystniej i szybciej rozwiązaliśmy dylemat życia. U was wciąż pokutuje skombinowany logarytm: Ojczyzna, honor, swoja żona, cudza żona...

(*Wstaje, podchodzi do lustra, wyjmując prześliczne przybory toaletowe z torebki, pudruje się przed lustrem, karminuje usta. W tej chwili wchodzi DUNIASZKA. Patrzy długo, wzgardliwie na Annuncjatę i zwraca się z niezmierną godnością do URUSKIEGO.*)

#### SCENA PIĄTA.

DUNIASZKA: (*z uroczystą intonacją*). Nadałam telegramę, panie hrabio.

(*wychodzi*).

ANNUNC: (*przez ramię*). Czy to... „hrabstwo” jest z woli ludu, czy też istotne?

URUSKI: (*wymijając*). Wola ludu, o ile wiem, zajmuje się raczej odbieraniem tytułów szlacheckich...

ANNUNC: Panie (*z akcentem*) hrabio! Myśmy ujarzmili wolę ludu. Nas, nuworiszów, wola ludu nie dosięga. Nawet tu, na niespodzianym terenie, osiągamy nad wami zwycięstwo. Ot ja na ten przykład, Annuncjata Bromberg, jestem baronówną. (*Po chwili, nagłe*). Co pan uważa za śmieszniejsze: baronówna, czy Annuncjata?

URUSKI: (*zaskoczony*). Annuncjata jest doprawdy śliczne imię..

ANNUNC: Doprawdy pachnie świeżym pokostem, tyle samo, co baron. Pan chyba nie może przepadać za wonią świeżego pokostu?

URUSKI: (*wypada cokolwiek z roli i mówi lekko, głaszcząc policzkiem pozostawiony na fotelu zaręczawek Annuncjaty*). Wolę, co prawda... Coty'ego.

ANNUNC: (*bystro i ironicznie zarazem patrząc na niego*). Ach! w tym kraju nędzy jakoby, łez i krwi, w Bolszewji, znają najnowsze kreacje Coty'ego!?

URUSKI: Dlaczego by nie, proszę pani? Tylko, że dawniej perfuma była tam swawolnym dodatkiem u pewnych sfer, dy-

skretnem podkreśleniem aromatu własnej, wypieszczonej stuleciami skóry, a dziś jest tam — u innych sfer — kosmetyczną koniecznością dla zabicia specyficznego aromatu.

ANNUNC: Specyficzny aromat?

URUSKI: Dzięć na przykład..

ANNUNC: (*podpowiada*) albo cebula.

URUSKI: (*powtarza ostrożnie*).. cebula..

ANNUNC: (*szybkim ruchem staje naprzeciw niego*). Pan wie, że my jesteśmy Żydzi?

URUSKI: (*zmieszany*). Skądże pani? Mam zaszczyt znać panią od kwadransa zaledwie..

ANNUNC: Żyda się ponoć poznaje na pierwszy rzut oka. Nie wyglądam ja na żydówkę?

URUSKI: (*wciąż zmieszany*)... na Hiszpankę..

ANNUNC: (*wybuchając śmiechem i śmieje się długo*). Tak. To jest najwyszukańsza, a zarazem najbanalniejsza forma do powiedzenia komuś, że ma wygląd Żyda. Nam wszyscy mówią, żeśmy podobni do Hiszpanów, do Włochów. — Biedny Mussolini! Biedny Primo da Rivera.

(*Uruski skonsternowany. Dzwonek. Od kuchni otwiera drzwi Duniaszka. Wchodzi pani Henrjetta Bromberg we wspaniałym futrze, gruba, rozlana, typowo piękna Rebeka*).

#### SCENA VI.

ANNUNC: (*przedstawia*). Pozwoli mama: hrabia Uruski, mąż gospodyni domu, nie tytułującej się i zarazem nieobecnej — świeżo importowany z Bolszewii.

PANI BROMBERG: (*uprzejmie, z lekką wyniosłość*). Miło mi poznać, równie jak nie miło dowiedzieć się, że żona pańska jeszcze nie wróciła z Paryża. Chciałyśmy być pierwsze przy wypakowaniu nowego transportu tualet, aby nas ktoś w wyborze nie wyprzedził. Przytem miałam jeden pilny interes do żony pańskiej.

URUSKI: Żona moja może jeszcze dziś powróci, więc mogę jej zlecenia pani powtórzyć. Czem mogę służyć?

PANI BROMBERG: Właściwie mogłabym poczekać z tem parę dni, ale skoro pan obiecuje pośredniczyć... Jest taka rzecz. Chciałabym zapytać, czy żona pańska, która ma tu zajęcie tylko do południa, ponieważ po południu nie przyjeżdżają już klienci z Warszawy — czy żona pańska nie zechciałaby przyjąć u mnie posady sekretarki. Mieszkamy na wsi, stąd o dwa kilometry, samochodem parę minut. (*Z łaskawym uśmiechem*). Nie potrzebuję dodawać, że posada jest lukratywna.

ANNUNC: (*wpadając w słowa*). Nie potrzebuję dodawać, że w tym wypadku etymologia wyrazu „lukratywna”, wywodzi się nie tyle od słodkiego lukru, co od nudnej lukracji.

PANI BROMBERG: (*niezadowolona*). Miła jesteś, moja córko!

URUSKI: Pomówię z żoną i — namówię. (*z lekką ironicznym akcentem*). Może pani baronowej potrzebny maître d'hôtel? Odbywałem kwarantannę w Baranowiczach i razem jechałem do Polski z księciem Kubaszczewem. Prosił mnie o taką posadę.

ANNUNC: Zważ, mam, że proponowanie ci maître d'hôtel'a wcale nie oznacza, iż ciebie pan Uruski bierze za hotelarkę..

PANI BROMBERG: (*z lekko żydowskim akcentem*). Ja myślę. Ale księżę Kubaszczew... gdzieżby on potrafił?

ANNUNC: (*śmieje się*). Głupstwo coby on potrafił, najważniejsze, czy aby autentyczny.

URUSKI: Najautentyczniejszy. A w fachu kamerdynerskim kształcił się dwa lata w Moskwie. Był kamerdynerem u bolszewickiego ministra, którego niedawno wrogowie sowietów uśmiercili. Znalazł się przez ów atentat Kubaszczew bez posady, a że świętej Rosji ma dość, więc tu przywędrował. Mieszka w Warszawie, hotel Beau Rivage.

PANI BROMBERG: Beau Rivage? Cóż to za hotel Beau Rivage? Nigdy nie słyszałam.

ANNUNC: Racja, mam. W Bristolach tylko my mieszkamy.



PANI BROMB. Zasadniczo zgadzam się na księcia, a o szczegółach pomówimy.

ANNUNC. (*śmieje się triumfalnie*). Komplet. „Na lwa srogiego siędziesz i na smoku ognistym jeździć będziesz”. Mam! Spełnione proroctwa! Hrabina Uruska lektorka, a kamerdynerem książę Kubaszczew. Wobec dokonania tak cudownej transakcji nie mamy nic lepszego do zrobienia, jak się pożegnać.

(*z przedpokoju wpoda zdyszana Duniaszka*).

DUNIASZKA: (*Jednym tchem*). Pani nasza przyjechała. Wysiada z dorożki przed bramą.

(*Brombergowa robi ruch, jakby chciała zostać, ale Annuncjata z pewną irytacją, cicho jej tłumaczy, że „nie wypada”. Naciąga futro i obie wychodzą. Za nimi silnie zdenerwowany Uruski.*)

(*W progu odwraca się ku niemu Annuncjata*.)

ANNUNC. Dowidzenia panie hrabio! A niech pan żonę przyjmie z powrotem do tytułu rodowego. To się dobrze opłaci w dzisiejszych demokratycznych czasach.

(*Koniec sceny VI-aj*)

#### FRAGMENT SCENY I AKTU II.

(Wielki hall w pałacu wiejskim baronów Brombergów. Olbrzymie Biedermayery i Chippendale we wszystkich kątach, skóry niedźwiedzie białe, masę trofeów myśliwskich na ścianach wzdłuż, wypchane rysie, rzadkie ptaki, antylopy. Wszystko naprzemian ze sportowymi obrazami bardzo wartościowymi: konie i konie, lub sceny myśliwskie. Wszędzie pełno kwitnących kaktusów w miedzianych, cennych urnach z brązu i porcelany. Z jednej strony cała ściana zavalona bronią, z drugiej reitpeitschami. Pośrodku hall'u na postumencie duża marmurowa rzeźba, przedstawiająca konia, półnaturalnej wielkości. Nawprost widzę: drzwi do właściwego przedpokoj, oddzielenego szklaną ścianą. Po bokach drzwi do dalszych apartamentów).

KUBASZCZEW (*doskonale zachowany starszy pan, wygolony, z bokobrodami. Ma na sobie liberję wielkiej goli, tj.: czarne, krótkie, atlasowe pantalony, długie czarne pończochy i półplutkie buciki z klamrami. Kamizelka jasnawosy. Nie ma jednak jeszcze na sobie czerwonego froka, ani nawet kołnierzyka. Otwiera właśnie drzwi, przez które wchodzi z za szklanych drzwi Uruski. Przez tę szklaną ścianę widzi się, jak Uruski zdejmując ubogie, wiatrem podszyte palto. Kiedy wchodzi, zacięra ręce. Kubaszczew ściska Uruskiego*). Dobrze, że człowiek nawykł do mrozów świętej matuszki Rosji, to mu tutaj i futro niepotrzebne!

URUSKI: (*śmieje się*). Ech, przydałoby się, bo choć późna wiosna, ale zimno potężne.

KUBASZCZEW: Właściwie futra to już przeżytek, kochany! My przecież wracamy do czasów pierwotnych. Porośniemy wnet włosem, jak człek przedhistoryczny i na diabła nam wtedy cudza sierść, kiedy będziemy mieć własną. Dżungla wraca...

URUSKI: (*rozglądając się po hall'u*). No! tu niebardzo do dżungli podobne...

KUBASZCZEW: Bo tu też nie dżungla, jeno zwyczajna menażerja.

URUSKI: (*wodząc wzrokiem po obrazach*). Malowana menażerja.

KUBASZCZEW: Są i żywe okazy. Xawery Eugenjewiczu, ale te są gorsze i także malowane. Jak ci mam jednak dziękować, żeś mi posadę tak szybko znalazł! (*ściska go*).

URUSKI: Ładna przysługa, skoro wymyślasz posadzie od menażerji!

KUBASZCZEW: O to chodzi kochany. Przejście z Bolszewji do ludzi byłoby zbyt ryzykowne dla zdrowia, a tak człek powoli nawyka. Ciepło ma, jeść ma, pić ma, nawet prima wina... bardzo ci jestem wdzięczny. A przywiozłeś kwiaty z Warszawy?

URUSKI: Przywiozłem. Zabrał ogrodnik.

KUBASZCZEW: Twoja żona jest tu od drugiej, w pokoju starej Brombergowej. O czwartej tu zejda, później będzie herba-

ta en famille, a dopiero około ósmej zaczną się goście zjeżdżać. O 9-ej diner monstre. Zadysonowałem im taki, że żydom włosy postawały na głowach. Nie mieli pojęcia, że coś podobnego egzystuje. A dopiero oddechy im zaparło, gdy pouczyłem, że to jeden ze zwyczajniejszych obiadów wśród bywszej rosyjskiej i francuskiej arystokracji.

URUSKI: Jeszcze jedna przysługa z mojej strony, tym razem dla Brombergów... Ładnego im dałem doradce!

KUBASZCZEW: Zwracam ci uwagę na Chateau Lecville Lascaux 1875, które będzie podane po fruites saumonées — bardzo przednie! Po pulardach też przednie będzie Chermbertin 1878.

URUSKI: Dobrze, żeś zapowiedział, bo byłym i tak nie poznał, co pić. Wiezienna woda zabiła mi wszelki smak.

KUBASZCZEW: Ech! nie wiezienna woda. Xawery Eugenjewiczu, ale żeś brat słowianin, który nigdy nie wiedział, czym jest sztuka kulinarna. Bądź co bądź, taka sama sztuka, jak malarstwo, czy muzyka. Wyłumacz mi, dlaczego ten jeden zmysł smaku jest w takiej pogardzie, a tyle się troszczy o rozkosze oczu, słuchu i powonienia?

URUSKI: Sadzę, że tu grała rolę kwestja nieśmiałości wytwórców sztuki kulinarnej...

KUBASZCZEW: Wszystko jest nieśmiale, mój drogi! Dla mnie Rzymianie, czw Grecy są równie wielcy, przez to, że na 490 lat przed Chrystusem mieli już książki kucharskie, że elony spróbowali z Rhodos, jarzabki z Frygji, a krzeta z Ambraccia, jak przez to, że dali nam Wenus Milońska, czy termy Karakalla.

URUSKI: Także punkt widzenia, Cyrylu Pawłowiczu.

KUBASZCZEW: To byli ludzie dawniej! Taki parież Pius V, zamiast pisać encykliki, które mogły mieć walor tylko dla jego owieczek, każe pisać Scempiemu kucharskie dzieła. Richelieu komponuje majonezy. Colbert daje nam sławny sos, książę Soubise słonne kotlety baranie — mój drogi, mój drogi! a taka pani Pompadour? Czy ty myślisz, że ona by długo była utrzymała przy sobie Ludwika, gdyby nie jej filety? Widzisz, baba minęła, a filety à la Pompadour zostały...

URUSKI: Ze wstydem przynaję, że więcej wiedziałem o panie Pompadour, niżli o filetach jej imienia.

KUBASZCZEW (*łagodnie*). Tyś słowianin, Xawery Eugenjewiczu! Słowianie omal że do dziś nie pozostali przy jaskiniowym régime. Przecież wtędu, kiedy już Vatel odbiera sobie życie, dlatego, że przeimbiercwał sos na stół królewski u nas się jeszcze serwowało na galowe obiady gęś w sosie, któremu koler nadawał — wiesz co?

URUSKI (*śmieje się*). Nie wiem, Cyrylu Pawłowiczu.

KUBASZCZEW: Spalony wiecheć słomy! Tak, tak. U nas słowian, szczytem wszystkiego były ogniki z chudych łaz karpackich, albo żywica śmierdzące chrapy łosia, albo konina.

Między nami mówiac, ja nie jadłem nigdy koniny, ale moja Margot zjadła mi stajnię wyścigową.

URUSKI: Pokazuje się, że, najwięcej tradycji miała panna Margot.

KUBASZCZEW: Tak, tradycja tkwi zawsze w tem, w czym jest zgola niepotrzebna. Mój drogi! czy dziwić się teraz, że was rozebrały trzy potencje, a Rosję, że rozebrała teraz jedna potencja? Naród wszakci, który w historii nie posiada takich nazwisk, jak Bechamel, Montier, Vatel, Laurent, jak Antoine Careme — musi mieć Trockiego i Lenina.

URUSKI (*śmieje się*). Na Boga! któż są ci panowie?

KUBASZCZEW (*ze zgorzaniem*). Jaki! Kucharze!!!! (*po chwili*). Of, brat Słowianin! A kto Trocki, kto Bela Khun, to pewnie wiesz!

URUSKI: Boję się, że jak zaczniesz uczyć historii swoich Brombergów, to oni prędko z torbami pójdą!

KUBASZCZEW: Nie bój się. Wytrzymają Brombergi wszelki wykład dziejowy.

(*Koniec sceny I*)



MARJA KUNCEWICZOWA

## JEDNO SPOJRZENIE

3

(Szkic powieściowy)

Co do mnie — wylażłam z poczwarki. Łuszczył się gipsowy pancerz: wracałam młoda z pieczary staropanieństwa, do której rok temu weszłam dzieckiem. Praktykanci wuja mogli już patrzeć i mówić ze mną bezkarnie — ani ich za to nienawidziłam, ani zbierałam łzami. Wyrobiłam też sobie sąd mniej więcej rozsądny o własnym wyglądzie i przestałam torturować twarz nieruchomością. Dziesiątki powieści wchłonełam na nowo, które dawniej czytałam tak, jak się u znajomych ogląda fotografie. Teraz przeżyłam je wszystkie żarliwie i bez urazy. Podałam światu dłoń na zgodę. Zaraz też przygarnęli mnie ludzie i zdarzenia. Z Krystyną gadałyśmy godzinami: o sukniach, obrazach z Zachęty, o znajomych, o imionach, psach i dzieciństwie. Nie po to, żeby coś sobie opowiedzieć, tylko, że nam ze sobą było przyjemnie. Heniowa miała uśmiech zupełnie, jak azalja, a ja, — wypuszczona z karceru — brzęczałam po letniemu, podobna pszczole, co jest już fruwającą grudką miodu.

Kroplami wonnemi ciekły dni. Coś tam padło w oborze, coś się urodziło na stajni, czegoś wuj psioczył rządcy, rozpacz jakiegoś wybuchła w krendencie — tupot bosych nóg, trzaskanie drzwiami, wiele głosów skłóconych, płaskich, przecinanych akcentem wściekłości, rzekłbyś bojowym krzykiem gąsiora. Wszystkie te sprawy istotne były dla nas mieszczuchów bezrozumną krętaniną kulis antraktem, który należy zaflirtować.

W początku sierpnia wypadały imieniny wuja. Postanowiono urządzać wielką fetę. Praktykanci wybiegli ze skóry, więc zdobyto aż czworo skrzypiec nienagannie żydowskich, lampjony (przez okazję) z Lublina, Jakób na tydzień przed datą skrapiał potem posadzki, bydło i ptako-bójstwo szło na wielką skalę. Najmniej pracował na własną chwałę wuj — Bogu ducha winien; — za to nikt nie chciał z nim gadać. Sama jednak esencja imienin, kolorowe tajemnicze jąderko chodziło w sukniach Krystyny. Kłócili się wszyscy, spiskowali, pili dużo kruszonu i ganiili chłopaków, a Krystyna dreptała gdzieś w głębi, szumiąc taftową spódniczką, i wiadomo było, że święto fruwa za nią, jak kanarek. Możemy hałasować, ale: nie będzie Krysi — nie będzie imienin.

Wreszcie przyszedł ten czwartek. W przeddzień oczywiście zepsuła się żniwiarka i wuj zwałił winę na praktykantów; więc drągałe kwaśniały po katach, a pogoda skroiała grymas, aż siny z satysfakcji. W domu — wobec ciężących fatów — o 8-mej rano już był ścisk, choć nikt jeszcze nie przyjechał. Publiczność — wściekła — wpadała na siebie w każdych drzwiach i pan „rzońdca“ z pod Szawel jęczał: „Choć świętych wynoś, Bożeczka moj“... Koło dziesiątej wszakże przyturkotał bryką proboszcz, zaczęto jeść i wygładzili się odmetry. Po kilku starcach wrócił rezon. Za trzecim wolantem dopiero spłynęła Krysia, świeża, jak listek; odkryto niespodzianki i święto zawisło u stropu.

Deszcz spadł dopiero po obiedzie. W chwili najśrodszej ulewy zajechał, skrzypiąc, break z dwunastką balowników. Stangretowi z daszka od czapki

lało się ciurkiem, konie prychały i dzwoniły uprzężą; jak z trampoliny skakały panny prosto w objęcia Henryka. Chłopcy poczynali sobie, niby w szwadronie na postoju — wrzask, wilgoć, przeciągi i kartonowe pudła po brzegi napełniły dom. Hanka latała z sukniami śladem rozhukanych podszew; nad strugą koło szaragów. Mohammed niepewnie machał ogonem. Zrobiło się odrazu wesoło — wesoło, jak w dziecinnym pokoju. Wuj, nadęty ostatnimi dniami, teraz ruszył przed się — niczem dzik z legowiska. Obległ panny, pozrywał banderole z najsmakowitszych cygar, rozmiótł służbę na posyłki w cztery strony dworu i wtedy dopiero — sapiąc rzęsiście — wrócił z błyszczącym okiem i brwią srodze nastroszoną do przerwanego bridge'a.

O szóstej już w salonie tańczyli. Żydowinów nie puszczano jeszcze na próg (mieli wystąpić wieczorem), ale niejaki Włodek grał foxtrotta i to jedyna para, to druga zaplatała się w uścisk i sunęła zygzakiem, podobna igle sejsmografu. Deszcz odszedł z szumem i pluskiem w inne strony kraju, rzekłbyś choleryk, zapłuty z irytacji; została słodka, nieśmiała pogoda, jak żona tamtego weredy. Wysłałam na taras. Nawet fotele trzcinowe, śliskie od wilgoci, pachniały czemś pięknem. Słońce nie świeciło, ale było blisko, bo chmury tętniły krwią, kwitły rudo i fioletowo; co wyższe topole już pochwyliły promieni na gałęzie i czem prędzej odziewały się w złote koszule. Drzewa inne wyglądały nagie i wstydlive, jak panny po kąpielu. W parku trwał wszędzie przyczajony uśmieszek; było cicho, nad wszelki wyraz poufnie i czule. Zapach, jakgdyby papieru spalonego, roślinnego potu, świeżych bułeczek i ziemi. Nieznane słowa nóżkami biegały po trawie. Czyjaś obecność dobrotliwa, dysząca ciepłem, niby wielka pierś wypełniała sobą powietrze od krawędzi nieba po mój własny policzek. Stąpiesz krok — здавало się — i już poznasz jakiś przemysł sekret; oczy mokre od tkliwości upieszczą cię całego pieszczołą tak niepretensjonalną, jak przywiązanie wyżła. Patrzyłam na ogród, czując, że on także patrzy na mnie i za chwilę albo ja wpadnę w gałęzie, ni to w ramiona, albo na taras wbiegną agresty i ucałują mnie po dziecinnemu wilgotnemi wargami. Tymczasem słońce wyciekło ze szczeliny w obłokach i spłynęło gęstym strumieniem na liście. W ten moment kałuża przed schodami zaciągnęła się złotem nakształt rany, którą świeża błona powleka, róże wytchnęły pianissimo różany refren i z wielkim wrzaskiem runęła w szpaler jaskółka. Za oknami foxtrocik dudnił głucho. Stuknęły drzwi — wyszedł Henryk. Już czarny, z papierosem w palcach.., Przyskrzypiał lakierami aż do mnie; stanął, palił i gapił się przed siebie. Tak staliśmy, nic nie mówiąc, dobrą chwilę. Rzucił papierosa, nozdrzami chwycił wilgoć, aż ciężką od wonności. Pierwszy raz pomyślałam, że jesteśmy cioteczkiem rodzeństwem, a więc bliskimi ludźmi. Spojrzałam na niego z samego dna serca — był ładny, umyty, jak drzewa; milczący i brat, jak one. Henio także na mnie popatrzył... Nie mogą — naprawdę — dwa spojrzenia przylec do siebie ciaśniej, z porozumieniem bardziej doskonałym.

(c. d. n.)



Z. ZAWISZANKA

## CORKA BOGA

Motto: „Fille de Dieu, va, va, va!”

Jeżeli warto żyć na świecie, to w dużej mierze dlatego, że od czasu do czasu zjawiają się między nami — jak błyski, przecinające szary mrok — wielcy ludzie.

„Istnieje na początku tych przeznaczeń wstrząsających pierwsza tajemnica: ta, która rządzi narodzinami.... Zjawiają się w czasie i przestrzeni, gdy zaręczywała o tem wola jakaś wyższa, czy nieprzenikniony zbieg okoliczności. Setki milionów, miljarde osobników zmieniają się na ziemi, a był ich nie ma innego celu, jak otrzymywać życie i podawać je dalej. Rodzą się w obojętności i giną w zapomnieniu. I lecz na niektórych zakrętach historii, zjawiają się istoty przedziwne ukształtowane i obdarzone — ich był jest cudem, a pamięć ich nie zatrze się nigdy. Próżne są wszelkie próby racjonalnego wytlómaczenia przyczyn i faktu ich zjawienia. Gwiazda ich wyblyska i znika, jak meteor. Po dopełnieniu swej misji, giną — zostawiając za sobą długi ślad światła”.<sup>1)</sup>

„Jest w nich nie tylko siła, która dźwiga świat z barbarzyństwa i spodlenia, pchając go powoli ku dobru — ale i urok jakiś niezwalczony. Miłość ku nim ma w sobie coś z miłości do sztuki”.<sup>2)</sup>

Szczęśliwy, komu wolno urzeć na własne oczy jednego z nich! lecz radością wielką, źródłem otuchy i postępu jest już samo wglądanie w ich dzieje, dążność do zrozumienia, choć w części, tych dusz wspaniałych. Ktokolwiek pochylił się ku onemu źródłu, ten odzyskał szacunek dla samego siebie: bo gatunek, co wydaje takie jednostki, musi być godnym szacunku. Nic smutniejszego po wszystkich czasach, jak ślepy pęd tłumu do kamienowania tych głów, co się wzniosą nad jego poziom.

Rozpoznać i ocenić wielkość, już to samo rzuca blask na naszą przeciećność, jakby od oblicza tych półbogów nadał refleks jakiś świetny dookoła. Jeden z najszlachetniejszych obowiązków każdego człowieka, to służyć im, o ile dani są naszej epoce, a później podawać ich pamięć — nieśmiertelności.

Wielki człowiek jest rzadkością — lecz wielka kobieta, to już wyjątek między wyjątkami. A wśród tych kilku poetek, uczonych i świętych, co warte są naprawdę wejść do najwyższego panteonu ludzkości, błyszczą jeden jedyny tylko genjusz czynu — najświetniejsza postać tej, którą „Głosy” objawień niebieskich zwały „Córka Boga”, a urzędowe akta państwa „Dziewicą Francji”.

Francja... ten naród o przedziwnej wszechstronnej duszy — nieprześcigniony w pracach dnia powszedniego, nieprześcigniony w rycerskim męstwie. Kraj zabiegliwych kunców i przemysłowców, zamiłowanych rolników, do przesady oszczędnych gospodarzy — a także nieustraszonych rycerzy o wspaniałym, artystycznym geście. Kraj twardej pracowitości i najpołotniejszego dowcipu — w którym wyblyska czasem niespodziewanie światło czystego natchnienia.

Ta Francja, jaką dzisiaj znamy, wówczas rodziła się dopiero. Z mnogich księstw i księstewek, rządzonych właściwie oddzielnie, różnych obyczajem, temperamentem, a nawet językiem — zaczęła się

dopiero wytapiać, w ogniu straszliwej, przewlekłej wojny, jedność narodowa.

Gdy naród nie wytworzył się jeszcze — średniowiecze gasło już, wraz ze swym międzynarodowym ustrojem feudalnym, z mocną i prostą moralnością, na nim opartą. Olbrzymi, przez kilka pokoleń ciągnący się bój dwóch wielkich państw — Anglii i Francji — potopem materialnych klęsk przesłania jedynie głębszy daleko kataklizm całej ówczesnej Europy, rozprzężenie jednego typu cywilizacji i długie, mozolne narodziny drugiego.

Na tle tego przelomu, tego ponurego chaosu, ukazuje się postać Joanny d'Arc — tak bardzo jednolita, zwarta, kryształowo jasna, jakby z innego przychodziła świata. Nic bardziej naturalnego dla dusz wierzących, jak przekonanie, że ją Bóg zesłał bezpośrednio na ratunek ginącej Ojczyźnie, Kościołowi, całej kulturze zachodniej.

Pisze się o niej nie dlatego nawet, żeby było coś szczególnie nowego do powiedzenia. Po publikacji bezcennych aktów obu procesów (skazującego i rehabilitującego), dokonanej przez Quicherat'a między 1840 a 1850 r. — po wyciągnięciu z kronik współczesnych wszystkich szczegółów o Joannie — trudno już w tej dziedzinie o jakieś rewelacje.<sup>3)</sup> A mimo to Francuzi piszą bez wytchnienia o tej swojej bohaterce — mówią o niej tak, jak zakocha ni o przedmiocie swojej miłości. I nie dziwię się wcale, że im się trudno od niej oderwać.

Dziwno mi raczej, że (o ile wiem) w Polsce od czasów Libelta, t. j. od 80-u lat, żadnego historyka ni literata nie skusił ten temat czarujący — ta „nieporównana legenda, która jest prostą prawdą”.<sup>4)</sup>

Jedyna to w dziejach niewiasta, niezrodzona na tronie, która nie tylko sama uwierzyła, że jest zesłana na ratunek krajowi, ale potrafiła o tem przekonać cały naród i — co dziwniejsze — dotrzymać swej wielkiej obietnicy. „Ta kobieta nieskalana ukazała się po to tylko, by kochać, służyć i zginąć”.<sup>5)</sup> Ujmowanie przez nią tej misji jest tak swoiście piękne, jej indywidualność ma w sobie coś tak przykuwającego, że trzeba ją nie tylko podziwiać, ale i kochać.

Trudno o niej nie pisać, doprawdy, gdy się raz miało szczęście obcować z tym przedziwnym, nieśmiertelnie żywym cieniem... Trzeba ją dość poznać jaknajszerszej — pokazać, jak kto widzi i umie jej sylwetkę, niepodobną do żadnej innej: to przy pracy w polu, to w zachwyceniu modlitwy, to konno na czele zbrojnych, ze sztandarem — niewinność jej uśmiechu, płomień natchnienia, szaleństwo jej odwagi...

<sup>1)</sup> G. Hanotaux „Jeanne d'Arc”.

<sup>2)</sup> Jan G. Pawlikowski, Mistyka Słowackiego.

<sup>3)</sup> Mimo niektórych jeszcze punktów niejasnych, lub<sup>3)</sup> spornych, wiemy o niej zadziwiająco wiele. Ogromna ilość własnych jej powiedzeń, dochowanych w aktach sądowych, lub cytowanych przez wiarygodnych świadków, pozwala stworzyć sobie żywy i pełny obraz tej nadzwyczajnej dziewczyny.

<sup>4)</sup> Hanotaux, Jeanne d'Arc.

<sup>5)</sup> Hanotaux.



Jeden z autorów francuskich J. Delteil, woła w zachwycie: „Joanno, gdybyś nie była istniała, to ja byłbym ciebie stworzył! Nieprawda! nie potrafiłby tego nikt i nigdy, bo taka właśnie postać literacka byłaby zawsze niewiarogodną jedynie fantazją. Największy nawet talent nie przekonałby świata, że podobna istota mogła żyć naprawdę.

Już za czasów Joanny uderzała współczesnych owa niezwykłość, przechodząca wszelką miarę — choć czasy to były pełne różnych niespodzianek, a ludzie więcej mieli naiwności i wyobraźni. Jej kapelan, Pasquere!, wykrzyknął raz w przystępie szczerości, jakby protestując w imię zdrowego rozsądku:

— Nie widziano nigdy nic podobnego do ciebie i twoich czynów! W żadnej książce czegoś takiego nie można wyczytać!

Na to Joanna:

— Pan mój miłościwy ma książkę, w której nie czytał nigdy żaden ksiądz, choćby był nie wiem jak biegły w sprawach duchownych.

Zaiste — im bliżej badać dzieje Orleańskiej bohaterki, tem większy ogarnia podziw dla niezbadanych dróg Mocy tajemnej, co taką duszę potrafiła stworzyć i uczynić ją tak nieprzewidzianym czynnikiem w dziejach ludzkich, ku zwycięstwu dobra i prawdy... (d. c. n.)

MARJAN DUBIECKI

## NA STOPNIACH TRONU

(KRÓLEWICZOWA MARJA JÓZEFA)

Pogoda w życiu dalszem królewiczowej Marji Józefy niedługo t wala.

Upadek potęgi szwedzkiej, ostatecznie rozgromionej przez cara Piotra pod Połtawą, odemknęły Augustowi II możność do kroków zemsty: rozciągnął on sekwestr nad majątkami Sobieskich. Wywołało to niedostatek w domu Konstantego, który dość prędko po ślubie zaczął zapadać na jakąś melancholję. Zamykał się, stronił od żony. Spadające nań troski powiększały anormalny stan zdrowia. Ożenienie się rozpętało burzę w rodzinie Sobieskich, wśród której nigdy stałej zgody nie widziano. Matka z Rzymu, gdzie stale zamieszkała, przysyłała listy, grożące przekleństwem, wzywające Konstantego natychmiast do Rzymu. Jakób, któremu przedewszystkiem nie podobał się zapis dożywocia w intercyzie Konstantego na rzecz żony, dolewał niejedną kroplę gorczy do fali trosk, która otoczyła młodych małżonków. Sekwestr dóbr, narzucony przez Augusta, wracającego na tron polski, tak mocno dał się uczuć, iż Marja Józefa zaczęła sprzedawać powozy i konie, zostawiając tylko parę wierzchowców dla Konstantego, któremu lekarze zalecali konne spacery.

Wreszcie, wobec melancholji, przedłużającej się, zdobyła się Marja Józefa na krok, że tak rzekę, bohaterski. Tłumiąc ból i smutne przeczucia w głębi swego serca, zaczęła nalegać na męża, by jechał do Rzymu, do matki, a sama podczas jego niebytności postanowiła osiąść w Warszawie i czuwać nad zachwianymi sprawami majątkowymi.

Królewicz usłuchał, pojechał do Rzymu, a Marja Józefa osiadła w Warszawie, gdzie przy ul. Senatorskiej — a więc na ówczesnych kończynach miasta — nabyła „dworek Pokrzywnickich“. Tu rozpoczyna się nowy okres jej życia...

Mniemając, iż mąż matkę przebłaga i wkrótce będzie mogła udać się do niego do Rzymu, czekała niecierpliwie tych pożądaných wieści, żyjąc w zupełnem odosobnieniu. August II, znany wielbiciel płci pięknej, pragnął ją poznać; przez ministra Fleminga zgłaszał się, zapowiadając swą wizytę, proponując, by przeniosła się do którego z pałaców królewskich i przyjęła straż honorową. Wszystkie te propozycje odrzuciła, prosząc jedynie o usunięcie

sekwestru z majątków Sobieskich, i to otrzymała. Sekwestr usunięto.

Tak upływał pierwszy rok po wyjeździe Konstantego, a drugi po ślubie. Nadchodziły od niego listy z wynurzeniami statecznej miłości, z początku częste, później coraz rzadsze; i po pewnem dłuższem milczeniu wręczono jej pakiet z nuncjatury warszawskiej. Sądziła, otwierając kopertę, że zawiera wiadomość o śmierci męża... Zawierał rzecz inną, również dla niej przerażającą. Był to pozew rozwodowy.. Były tam obwinienia, iż „czarami“ zniewoliła królewicza do ślubu...

Rozpoczął się więc w Rzymie proces rozwodowy, a Marja Józefa, stosownie do obyczaju, podczas jego trwania udała się do klasztoru na mieszkanie. Wybrała te mury klasztorne, które ją wychowywały i patrzyły na radośne dni jej dziecięcych lat. Osiadła u Sakramentek, których zgromadzenie zakonne składało się już przeważnie z Polek; garneły się doń córki możnych domów. Ówczesną ksienią była Tarłówna. Powitała ją królewiczowa smutnymi słowy: „Przychodzę błagać cię, wielbna matko, o schronienie, którego świat dać nie może“... Dano do jej rozporządzenia sześć skromnych izb klasztornych, w których przebyła w zupełnem odosobnieniu, nie przyjmując nikogo — oprócz brata i bratowej — lat jedenaście... Czekala na wyrok w sprawie rozwodu. Nie nadchodził... Oddana rozmyślaniom w odosobnieniu, nie zapomniała wszakże o swych sprawach majątkowych i nie była pozbawiona wieści ze swą matką. Nadchodziły listy królowej Marji Kazimiery, która tym razem uderzyła w nutę czułości, chcąc wydobyć z ust synowej wyraz zgodzenia się na rozwód. Sprawa rozwodowa szła opornie w Kurji rzymskiej, zgodzenie się królewiczowej mogło wyrok przyspieszyć. Dla pewniejszego przeprowadzenia swej intrygi królowa przysłała nawet z listami do Warszawy swego dworzanina Le Brie. W listach tych oświadczała, że tylko baczenie na jej szczęście skłania ją do popierania sprawy rozwodowej. Wynurzając się przytem ze swą nadzwyczajną dla niej miłością i jako dowód konieczności zgodzenia się na rozwód załączyła list Konstantego do księżnej Sforza, z którą go łączyła miłostne stosunki. W tym liście Konstanty o swem



małżeństwie mówi z ironią, nazywa go „pozornem“, oskarża swą żonę o „podstęp i zalotność“...

Było to już ponad siły królewiczowej. Zapadła w ciężką chorobę. Obawiano się o jej życie... Przetrwiała jednak i ten cios. Po wyzdrowieniu znalazła w owym rzekomym liście Konstantego widoczne ślady, że jest sfalszowany. Le Brie z niczem wrócił do Marji Kazimiery, która wkrótce nagle umarła w zamku Blois, we Francji. Jednocześnie ze sprawą rozwodową, gorliwie popieraną przez starą królową, Jakób za pośrednictwem generalnego rządcy swych dóbr, Grabiankę, starał się wyłudzić od bratowej zrzeczenie się dożywocia. Chciwość Jakóba występowała w tej sprawie w całej ohydzie. Grabianka go wspierała w tych frymarkach. Pod wpływem żądzzy zawładnięcia prawami królewiczowej do majątku mężowskiego pisze do niej Jakób uprzejme zaproszenie do Olawy; w tym liście po raz pierwszy nazywa ją „królewiczowska mość“, stara się okazać usposobienie pojednawcze. Złudzona nadzwyczajną uprzejmością Jakóba pojechała do Olawy. Jedyne to było dłuższe opuszczenie klasztoru w czasie procesu rozwodowego.

Rokowania Olawskie opornie szły. Królewiczowa, chociaż od wielu lat znała Jakóba, prawie wcale z nim nie mówiła; obawiała się go. I teraz, w Olawie, więcej słuchała, niż mówiła; a słuchała dużo rzeczy przykrych z ust tego wyniosłego czło-

wieka. Ostatecznie, nie czekając na orzeczenie w sprawie rozwodu, ofiarował jej Jakób rentę dożywotnią w wysokości 10 tysięcy talarów pruskich. Widząc jednak, iż bratowej najwięcej zależy na uznaniu prawomocności jej ślubu, oświadczył, że gotów błogosławić, jak ojciec, jej małżeństwu z bratem. Królewiczowa skwapliwie przyjęła ten warunek, a wtedy Jakób, pobłogosławiwszy — cofnął obiecaną rentę. Spisano w końcu umowę, w której Jakób uznawał ją za bratową, nie odmawiając prawnie należnego stanowiska i tytułów wzamian za zrzeczenie się wszelkich praw do majątku męża; o rencie w tej umowie, ani też o żadnym materialnym wynagrodzeniu mowy już nie było... Jakób tanim kosztem benedykcji ojcowskiej znacznie pomnożył swe mienie.

Mocno oszukana królewiczowa wracała do Sakramentek, otoczona etykietą dworską, górującą wciąż na zamku olawskim, którego gospodarz udzielił jej na podróż powrotną swe pojazdy uherbowane i asystę, złożoną z szambelana i dwóch panien. Tytuł „królewiczowskiej wysokości“ nieustannie dookoła niej brzmiał. Odtąd w korespondencji z książętami zagranicznymi widzimy, że ją stale tytułowano „Son altesse royale la princesse Constantin Sobieska“... Z tego cudzoziemskiego określenia jej tytułu wytworzono w Polsce nazwę „Konstanta“, zamiast Konstantowa. W ówczesnych gazetach, listach stale spotyka się nazwisko Marji Józefy — „królewiczowa Konstanta“.

(c. d. n.)

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

### RAJ DLA GOSPODYN DOMU.

Ameryka jest krajem oryginalnych, ale i praktycznych pomysłów. Oto jedna z amerykańskich firm radjofonicznych wpadła na pomysł, który przysporzy jej z pewnością wiele klientek pomiędzy paniami domu.

Firma ta zobowiązuje się mianowicie ułatwiać swym abonentkom pracę domową, a także dostarczać im miłych rozrywek w przeciągu dnia. Klientka, zapisując się przy wynajmowaniu aparatu, wypełnia kwestionariusz, w którym są wyszczególnione sprawy następujące: o której godzinie musi rano wstać do swego zajęcia, do jakiego wyznania należy, jakie są tematy, które ją najbardziej interesują (sztuka, polityka, pewna specjalna gałąź wiedzy), jaką lubi muzykę poważną, czy lekką i t. d. i t. d.

Odtąd rozpoczyna się dla owej abonentki życie pełne ułatwień i rozkoszy. Co rano o oznaczonej godzinie budzi ją gwałtowny dzwonek aparatu, po czym, aby jej ułatwić zerwanie się z ciepłej pościeli następuje krótki, a treściwy wykład o pożytku i potrzebie ранego wstawania, zakończony wesołymi dźwiękami fox-trotta, tak zachęcającymi, że nawet największy śpioch zerwałby się od razu z łóżka. Podczas pacierza porannego przygrywa kapela religijna, lub chór kościelny śpiewa okolicznościowe pieśni pobożne. Zajęciom domowym towarzyszy wykład o najlepszych metodach sprzątnięcia, gotowania etc. Przy obiedzie wesoły koncert, potem wykład z jakiegokolwiek dowolnie obranej dziedziny. Wreszcie wieczorem — dyspozycja obiadu na dzień następny, ostatecznie wiadomości z dziedziny polityki, a w końcu na do-

branoc — znowu koncert, poważny, lub lekki: zależnie od gustu.

Doprawdy, przy takich ułatwieniach życie gospodyni domu stać się może rozkoszą!

### IDEAŁ FRANCUZKI

Paryskie pismo kobiece „Ève“ ogłosiło ankietę do swych prenumeratorek z zapytaniem, jaką postać historyczną uważają za wcielenie ideału kobiety francuskiej. Ankieta wywołała duże zainteresowanie, czego dowodem było nadesłanie kilkunastu tysięcy odpowiedzi. Największą ilość, bo aż 3.891, otrzymała Joanna d'Arc, którą określano jako „ideał Francuzki patriotycznej, energicznej, czynnej, a zarazem skromnej i pełnej prostoty“. Sarah Bernhardt, obrana 3.322 głosami, jest uosobieniem artystycznej głębi i polotu twórczego duszy francuskiej. Madame de Sévigné otrzymała 3.153 głosów, jako wyobrazicielka prawdziwie francuskiego „esprit“ i błyskotliwego stylu literackiego. Poza to jeszcze dużo wielbicielek mają: Blanka Kastylska (1.935 głosów), Charlotta Corday (1.223 głosy) i Georges Sand (774 głosy). Słynna pani Pompadour otrzymała także pewną ilość głosów, ale warunkowych: zwolenniczki jej bowiem oświadczyły, że uważają ją wprawdzie za bardzo wybitną postać historyczną, obdarzoną całym szeregiem cech dodatnich, właściwych kobiecie francuskiej, jako to: inteligencja, dowcip, siła woli, wdzięk osobisty i t. p. — jednak mają duże zastrzeżenia w kierunku sposobów i środków, jakich używała dla osiągnięcia swych celów i zaspokojenia wybujałej ambicji.



# MODY I ROBOTY



40.



41.





42

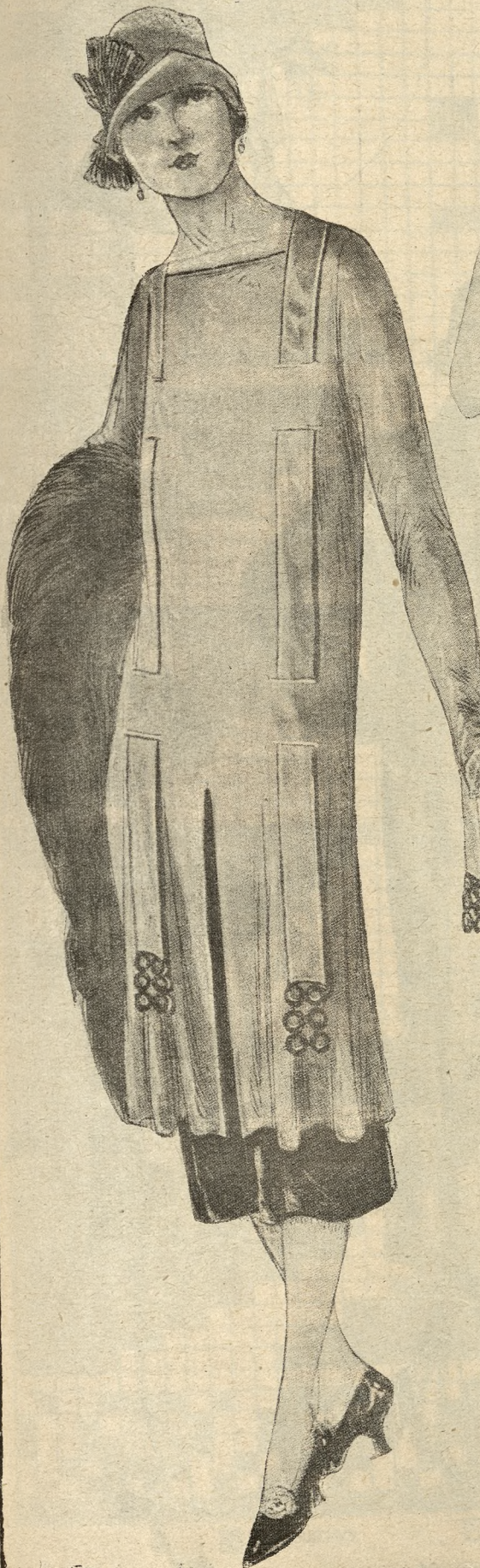


43

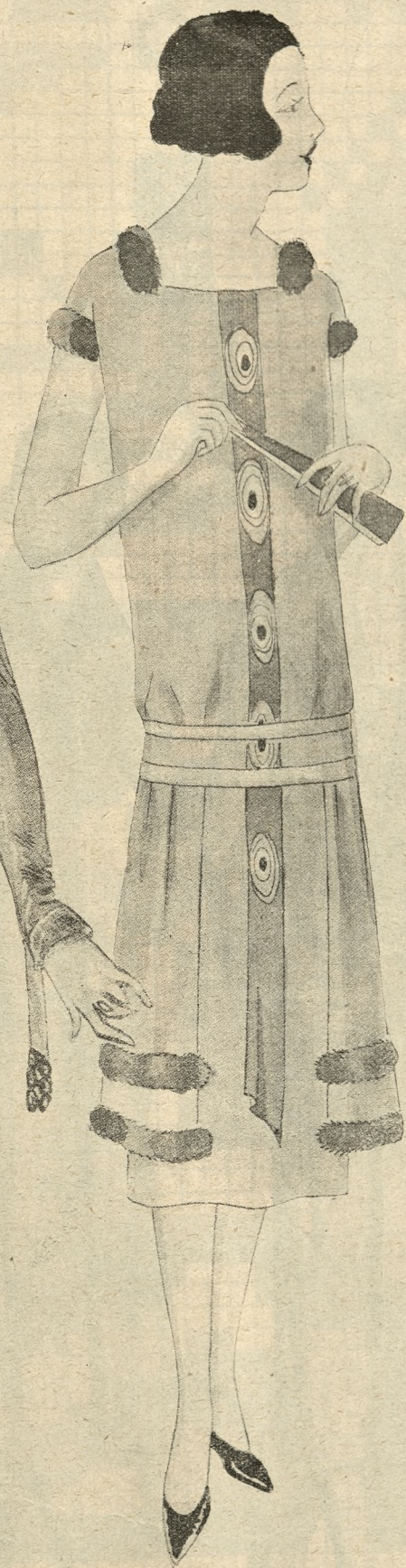


44





453



460

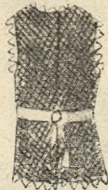


47

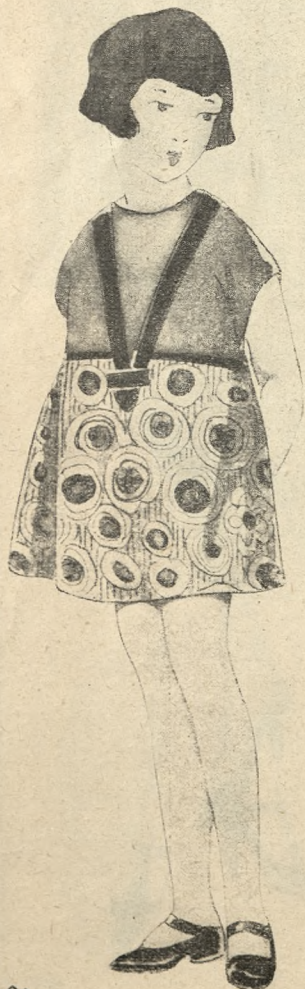




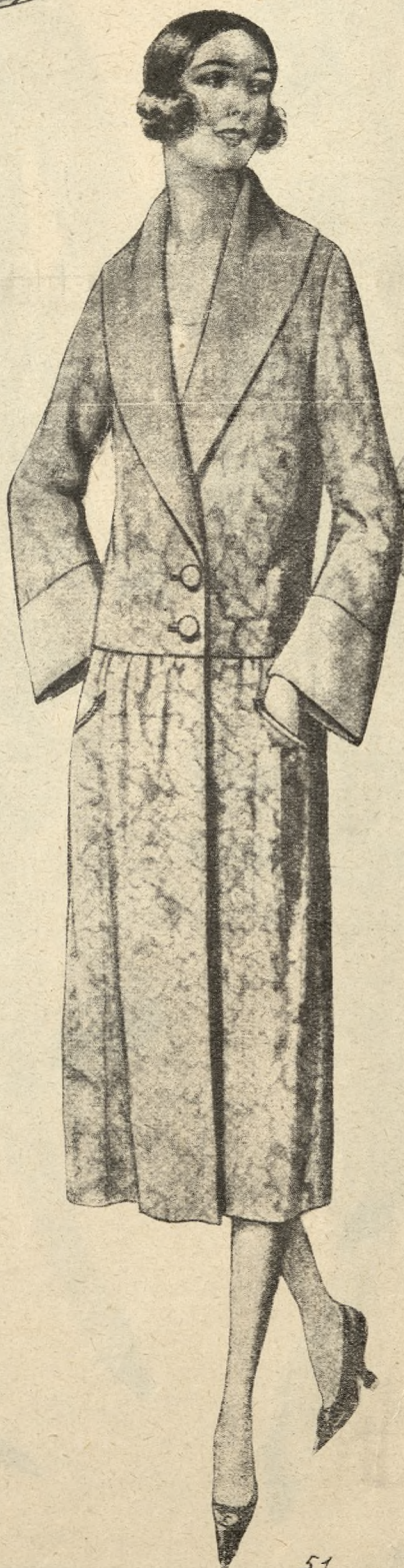
48.



49.



50.



51

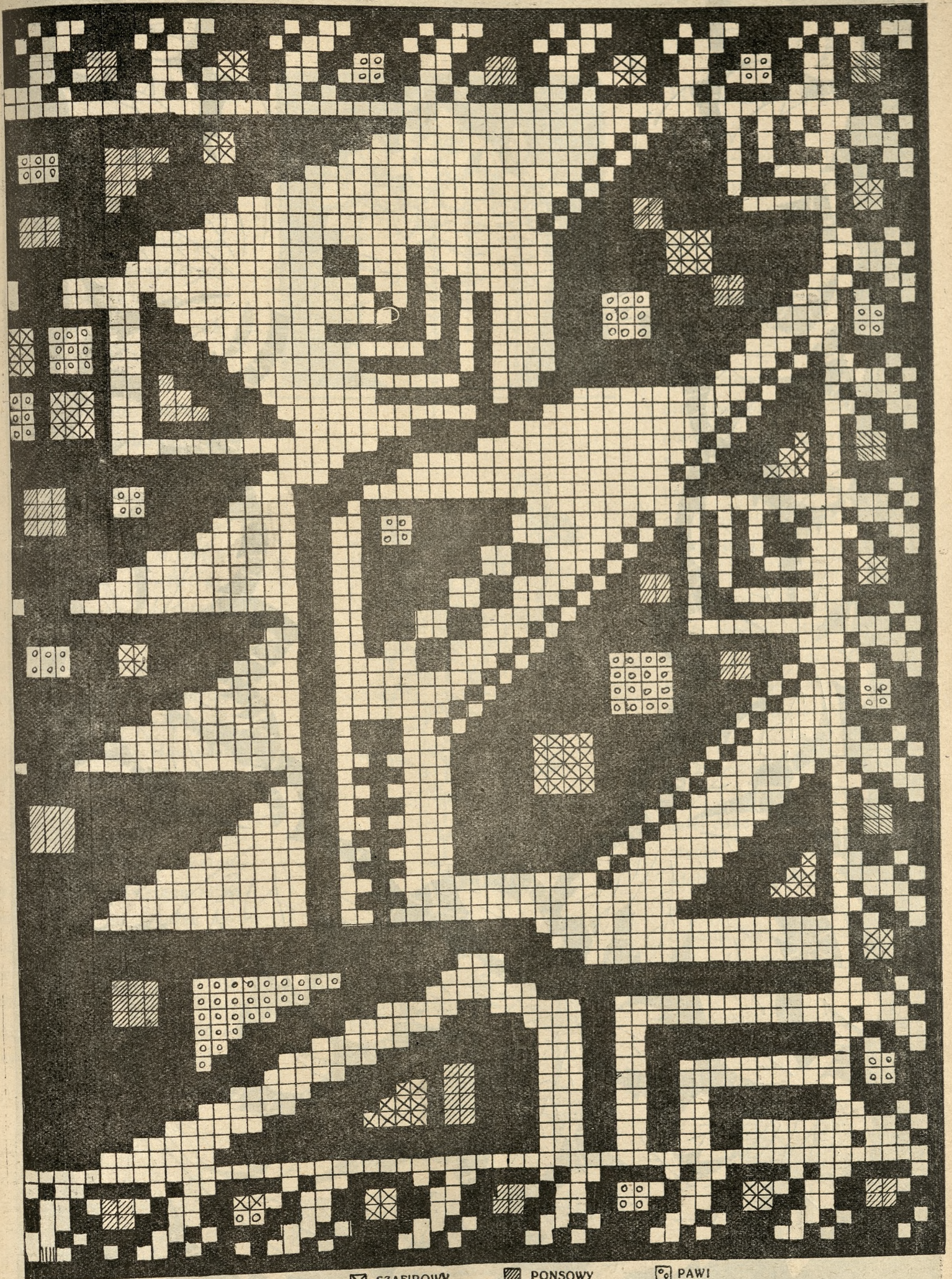


52



53





■ BRONZOWY

⊠ SZAFIROWY

▨ PONSOWY

⊙ PAWI

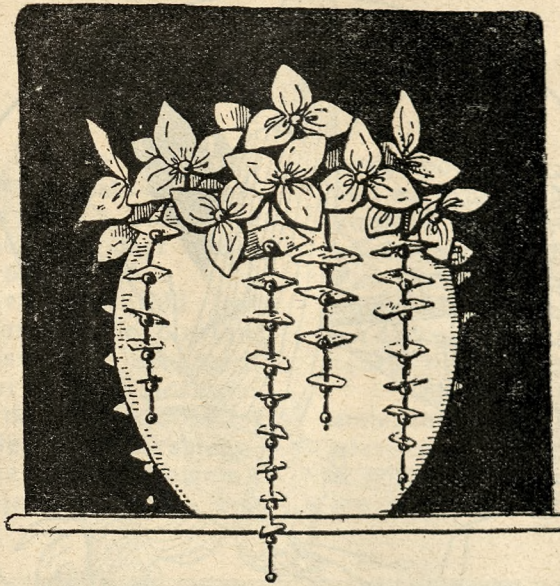




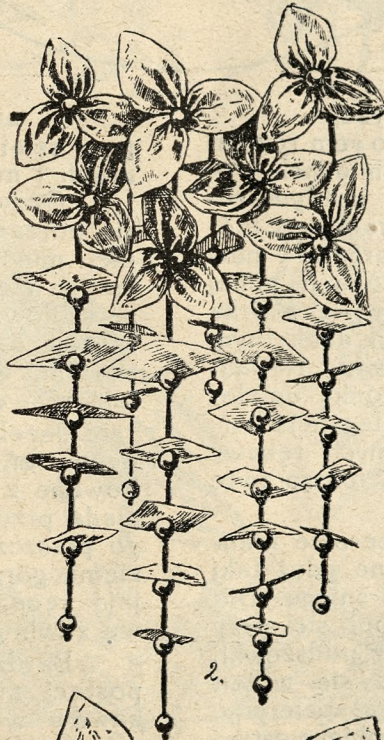


## K W I A T Y

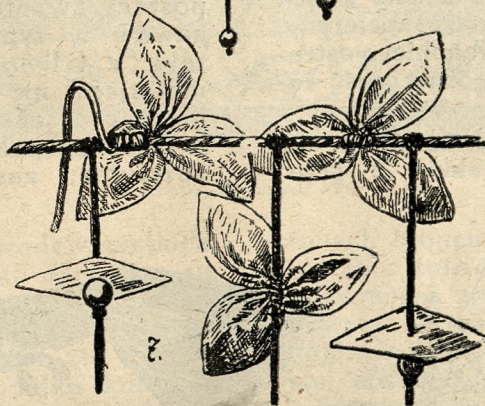
Nie wszędzie można mieć piękną salę na urządzenie widowiska, lub zabawy. Dla przyozdobienia prowizorycznego, dużo pozostawiającego nieraz do życzenia lokalu, ładnie nadadzą się kwiaty papierowe—miłe dla oka, bardzo dekoracyjne, efektowne i łatwe do wykonania. Robi się je z bibułki karbowanej w barwnych, a nawet jaskrawych kolorach, krajanej w paski dowolnej szerokości, które przecina się nożyczkami w trójkąty jednakowej wielkości (rys. 6). Marszcząc w palcach podstawę trójkąta tworzy się listki (rys. 4). Na środek kwiatka nawłóczy się na długi cienutki drucik paciorek żółty, czerwony, zielony, albo czarny (rys. 3), skręca się drucik i rozmieszcza naokoło, przy samym paciorku trzy kwiatowe listeczki, które mocno przywiązuje się i okręca nitką tego samego co bibułka koloru (rys. 5), następnie umocowuje się kwiatek na drucie, lub na grubym sznurku. Sznurek, jako bardziej giętki — lepiej nadaje się na festony



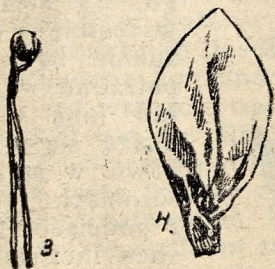
1



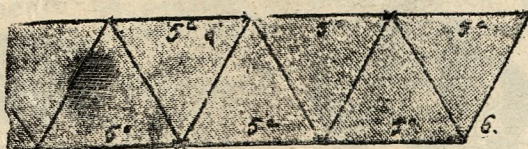
2.



3.



4.



6.



5.

## DO DEKORACJI

i wisiory—girlandy lepiej robić na drucie. Wisiorki, których długość dowolna waha się między 30-stoma a 90-cio-ma centymetrami — robimy z kwadratów papierowych kilku wielkości, naciągniętych ra kolorowy sznureczek, wiązany na supełki z dwóch stron drewnianego paciorka, chroniącego je od zsuwania się. Sznureczek przeciąga się przez środek każdego kwadrata, rozmieszczając je w małej od siebie odległości — Chcąc mieć dłuższe wisiory, można brać po 2 lub 3 kwadraty każdej wielkości. Bukieciak przytwierdza się nad wisiorkami tak, aby kwiatki, obrócone tylko w jedną stronę, kryły sznurek, do którego są umocowane (rys. 7). Rysunek 1 i 2 wskazuje wykonanie całej dekoracji. Od gustu i poczucia estetycznego osoby, zdobiącej salę, przedsionek, lub schody, zależy sposób udekorowania festonami, wiankami, lub bukieciakami ścian, które zasłonić trzeba, a od rozmieszczenia ozdób zależy efekt, jaki wywierać będą.



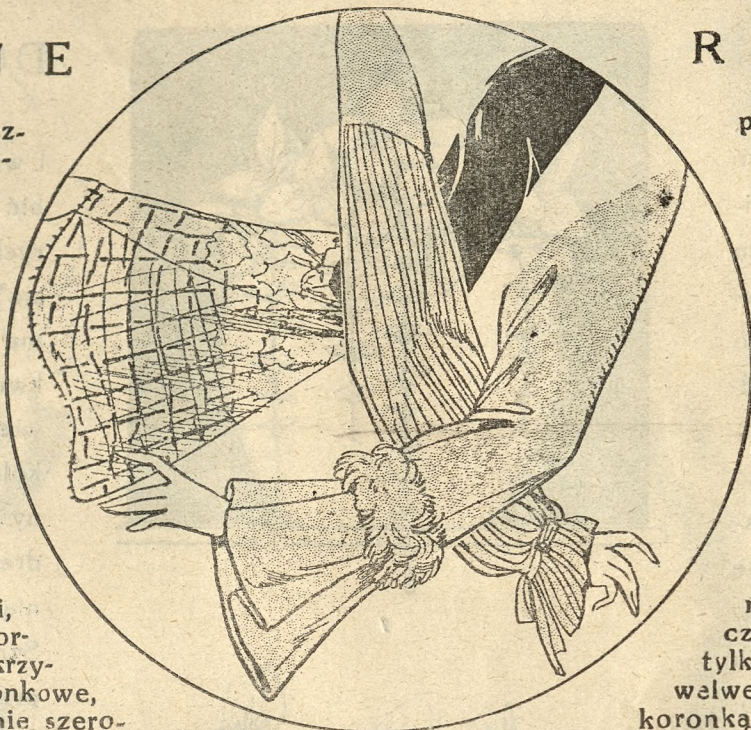
## M O D N E

## R Ę K A W Y

Do niedawna były kopciuszkami mody, zaledwie tolerowane przy praktycznych wełnianych sukniach, wszystkie strojniejsze suknie w eleganckich żurnalach były zaopatrzone w napis „manches inexistantes”. Świeży powiew z Paryża przywiózł nam w tym sezonie modele rękawów strojnych; zaopatrzymy w nie nasze suknie wizytowe, wieczorowe, ba, nawet balowe. Rękawy kłozowe, wycinane w zęby, jak dół modnej sukienki, rękawy z karbowanej georgette'y, powiewne, jak skrzydła motyle, rękawy koronkowe, manches pagodes, przesadnie szerokie, jak rękawy francuskiego habitu, zabawne bufki, zaczynające się powyżej łokcia, związane u przegubu dłoni... słowem różnorodność niebywała. Pani o pięknych ramionach wybierze krój rękawa szeroki, luźny; przy każdym ruchu on opada, odsłaniając piękny kształt ramienia, które wychyla się ze zwojów koronki, lub georgette'y niby z kwiatowego kielicha. Pani o ramionach mniej kształtnych, lub pokrytych dokuczliwą gęsią skórą tak się dająca w zimie we znaki bardzo delikatnym naskórkom, będzie wolała rękaw bufiasty. Najładniej wygląda taka bufka zrobiona z koronki, umalowanej na kolor sukni; jest to niestety elegancja bardzo zbytowa. Przy sukniach sukiennych rękawy są w dalszym ciągu długie i obcisłe, rozszerzone przy ręce.

Przy okryciach nosi się ultra szerokie manches pagodes, prześliczne i niepraktyczne, gdyż taki rękaw, to istny rezerwuar dla deszczu i śniegu. Dla ochrony ramion od zbytowego zimna robi się przy tym kroju rękawa, wewnętrzny rękawek z podszewki. Przy toaletach balowych nieraz układa się w ten sposób draperję z tiulu, że tworzy rodzaj peleryny, skrzydeł, spadających na plecy aż do głębokiego ostrego dekoltu. Draperja taka osłania górną część ramienia i tworzy rodzaj rękawa.

Przy wizytowych sukniach z jedwabiu, lub akşamitu ładnie wyglądają rękawy lekkie z georgette'y, ninon, lub koronki. Przy sukni ciemnej—jasne stanowią idealny sposób odświeżeń i zmienienia do niepoznania sukni niemodnej i opatrzonej. w obecnych ciężkich czasach motyw nie do pogardzenia. Metalowa koronka jest ładnym materiałem na rękawy, ale tylko w takim wy-



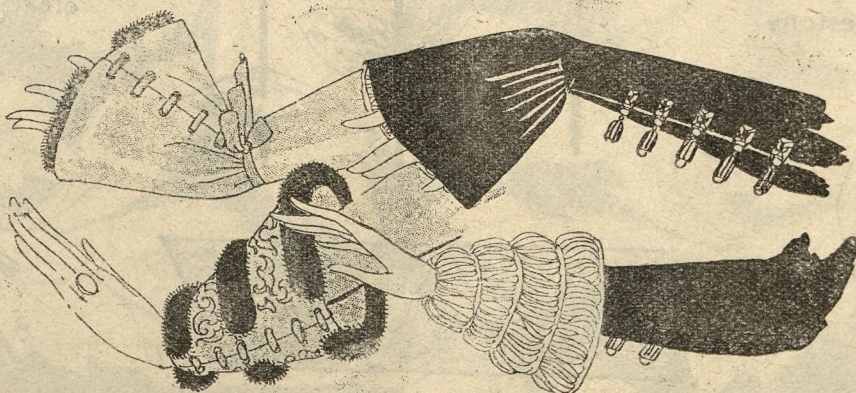
padku, jeżeli z tej samej koronki jest zrobiony dół sukni. lub przynajmniej geody. Prześlicznie wygląda metalowa koronka w połączeniu z georgette'y w pastelowym odcieniu. Zwłaszcza jeżeli srebro, lub złoto koronki jest również przetkane pastelowymi kolorami. W wielkich sklepach warszawskich, widziałam szereg warjantów tego pomysłu, jedne ładniejsze od drugich, niestety wszystkie bardzo kosztowne. Aksamit również ładnie się łączy z metalową koronką, ale tylko miękki velours-chiffon, welwet bawełniany ze srebrną koronką sprawia nieuniknione wrażenie pogrzebu pierwszej klasy. Największa fantazja rękawów dopuszczalna jest przy szlafroczkach, zwłaszcza przy strojnych peniarach i matinkach.

Oczywiście szlafroczek gospodarczy, w którym się porządkuje w spiżarni i ściiera kurze nie powinien mieć fantazyjnych szerokich rękawów, zaczepiających się o każdą klamkę, lub zrucających wszystko ze stołów. Natomiast przy strojnem „tea-gown”, w którym pani przyjmuje gości, będąc nieco niedysponowaną, lub zmęczoną, prześlicznie wyglądają olbrzymie rękawy-skrzydła z koronki, lub ninon.

Jeżeli peniar jest z crêpe de chine'u, lub innego cieńszego jedwabiu, można zrobić rękawy karbowane z tego samego jedwabiu. Prześlicznie wygląda przy gładkiej domowej sukni rodzaj kłozowego płaszcza-peleryny, spadającego z ramion, aż do ziemi, górne ukosy przymocowane do ramion zawiązują ręce, aż do dłoni, można je odrzucić i znowu zawiązać.

Bardzo to jest malownicze i niemal dla każdej postaci awantażowne. Wielka jest różnorodność rękawów w tym sezonie, są szerokie i obcisłające rękę, z folbanami i bufkami przy dłoni, z innego materiału niż sukni; potrafi w nich sobie dobrać coś ekscentrycznie dziwaczne pani kapryśna, zaspokoi wrodzoną potrzebę zbytku pani rozrzutna, zastosuje się do nowej mody pani

pomysłowa i praktyczna—słowem wszyscy będą zadowoleni, oczywiście nie na długo, bo kiedy już wszystkie nasze suknie będą zaopatrzone w takie, lub inne rękawy, ukażą się niewątpliwie w paryskich żurnalach modele z podpisem „manches inexistantes”.



W. L.



## B A T I K

### IV.

Mówiąc o barwikach, któremi farbuje się batik, wypada powiedzieć nieco o kolorach i zestawieniach kolorystycznych, które mamy otrzymać. Śledzenie zmian, jakim ulega materiał i ornament, jest bodaj największą przyjemnością w całej pracy.

Zwykłym, naturalnym wynikiem techniki jest jasny ornament na ciemnym tle, farbuje się bowiem tkaninę jasną na kolory ciemniejsze, — ornament zaś pozostaje takim, jakim był pierwotny kolor materiału. Oryginalne, jawajskie batiki są najczęściej dwu — lub trójkolorowe (zestawienia niebieskiego, żółtego i czerwono brązowego na tle kremowym); nasze ludowe pisanki, będące swojską odmianą batików nie są bogatsze pod tym względem. Dwu i trójbarwność nie jest oznaką ubóstwa twórczego — przeciwnie ograniczenie to oznacza raczej dużą kulturę i podkreśla znaczenie fantazji i dowcipu w rysunku.

Ornament w jawajskich batikach jest często tak komponowany, że wywołuje niezmiernie bogate wrażenie przez przeciwstawienie dużych, jednolitych płaszczyzn partjom silnie ażurowym, — działa interesująco przez „wypelnianie“ płaszczyzn motywami uzupełniającymi, jak kropki, kreski, kółka i linje faliste bądź zbite gęsto — bądź rzadko rozsypane, co robi koronkowe wrażenie. Batik może być niezmiernie zajmujący tylko przez dowcipne operowanie szczegółami. W zdobnictwie jest częstym zjawiskiem osiągnięcia najwyższego efektu najprostszymi środkami, — pstrokacizna pokrywa równie często zły, jak i niewyrobiony smak. To też z wielu względów doradzałabym raczej ograniczoną ilość kolorów. Przedewszystkiem przy dwubarwnej tkaninie nakład pracy ogranicza się do minimum, raz się bowiem rysuje ornament i raz się farbuje; przy każdym następnym kolorze praca się powiększa. Przy małej wprawie ryzykuje się o wiele mniej, ograniczając ilość barw; przy kilku kolorach jedna nieudana kombinacja może popsuć całą pracę. Łatwiej jest wreszcie opanować całość i przewidzieć wynik, jeśli nie rozbija się ornamentu na cząstki, które się kolejno dofarbowuje, lecz odrazu ocenia się wrażenie, jakie wywrze rysunek.

Jakie zestawienia kolorystyczne są najładniejsze? Przedewszystkiem zestawienia białego i kremowego koloru (jako naturalnej barwy płótna, lub jedwabiu) z wszystkimi innymi kolorami. Można też materiał ufarbić przed zapisaniem na jasne tony różnych barw, a więc na kolor jasno-niebieski, różowy, pomarańczowy, lub żółty i dofarbować później na kolory ciemniejsze, — tu jednak trzeba się liczyć z wzajemnym oddziaływaniem kolorów, by nie mieć niespodzianek.

Powszechnie wiadomą jest rzeczą, że podstawą naszych wrażeń kolorystycznych są trzy barwy zasadnicze t. j. czerwona, żółta i niebieska (kolory tęczy).

Kolorów tych nie można otrzymać zapomocą zmieszania jakichś innych barw, — można natomiast otrzymywać zupełnie nowe kolory, pomieszawszy w różnych stosunkach barwy zasadnicze. Wszystkie barwy poza czerwoną, żółtą i niebieską są pochodnymi; takimi są w tęczy pomarańczowa (kolor żółty i czerwony), zielona (k. żółty i niebieski) i fioletowa (k. czerwony i niebieski). Zależnie od ilości i natężenia mieszanych kolorów otrzymamy moc odcieni od najjaśniejszych do najciemniejszych, od najspokojniejszych do najżywszych, fakt ten stanowi źródło owych niespodzianek, o których wspominałam.

Jeśli ktoś, farbuje żółtą tkaninę, zapisaną woskiem, w niebieskim barwiku, sądzi, że otrzyma żółto-niebieski batik, pomyli się srodze — żółty bowiem kolor z niebieskim da jako ostateczny wynik barwę zieloną. Jeśli ten ktoś — niezadowolony z wyniku — włoży batik zielony do kąpieli czerwonej, otrzyma brąz, lub terrakotę zależnie od stosunku ilościowego barwików.

Dobry wynik można otrzymać, zestawiając kilka tonów jednego koloru razem; ładnym może być np. batik w trzech tonach brązu (kremowy, jasny — i ciemny brąz), w kilku tonach niebieskich, lub zielonych. Rzecz taką można zrobić bądź przez krótsze i dłuższe farbowanie w tym samym barwiku — bądź przez łamanie kolorów. W pierwszym wypadku sporządzamy jedną kąpiel, ale farbujemy w niej kilka razy; naprzód otrzymamy batik w niej krótko, by otrzymać ton najjaśniejszy, po wyjęciu i wysuszeniu go zakrywamy woskiem miejsca, które nie mają się więcej ufarbić, i z powrotem wkładamy do kąpieli. Po kilkakrotnym powtórzeniu tych czynności otrzymamy szereg coraz ciemniejszych tonów. Trzeba jednak uważać, by różnice między jednym tonem, a następnym były dość silne, — inaczej całość może się stać monotonna i nudna.

Łamanie kolorów ma na celu bądź stworzenie nowych, kontrastowych odcieni, bądź złagodzenie jas-



Oryginalny jawajski batik.



krawości niektórych kolorów. Kolory otrzymywane z barwików sztucznych są zwykle „czyste“, intensywne i wskutek tego jaskrawe. By tę surowość barwika usunąć, dodaje się do nich małe odrobinki innych kolorów; służy do takiego łamania i łagodzenia kolor czarny (bardzo ostrożnie, bo łatwo brudzi). Lepiej jeszcze jest łamać jedne kolory innymi kolorami, wywołując różne odcienie; całą gamę żółtych barw od cytrynowej do pomarańczowej, lub oliwkowej, otrzymamy przez dodawanie niebieskiego, lub czerwonego barwika w najrozmaitszych ilościach do koloru żółtego. Szaro-niebieskie tony otrzymamy przez w mieszanie żółtych i czerwonych kolorów do niebieskiego. Mała ilość czerwonego barwika dodana do ciemno-niebieskiego barwika da granat fioletowawy i. t. d.

W zestawieniach kolorystycznych należy zwracać uwagę na dopełnianie się barw. W potocznej mowie określa się to słowami, że „kolory się zgadzają, lub nie zgadzają;“ słowa te są stwierdzeniem wrodzonego każdemu człowiekowi poczucia kolorystycznego, za pomocą którego wyczuwa on instynktownie prawa harmonii barwnej<sup>1)</sup>.

Polega ona na pełnym zadowoleniu oka, wyklucza więc: 1) monotonie, cz. zestawienia kolorów, w których dominuje wyłącznie jeden kolor zasadniczy (np. zestaw. brązu o odcieniu czerwonym z fioletem który ma zwykle przewagę koloru czerwonego i z pomarańczowym byłoby bardzo męczące z powodu nadmiaru czerwoności bez przeciwwagi koloru żółtego, niebieskiego i. t. d.); 2) chaos wywołany przez zbyt wielką ilość kolorów i odcieni. wskutek czego oczy męczą się, nie mogąc ogarnąć całości.

Pełną harmonję tworzą albo trzy barwy zasadnicze razem, albo jedna zasadnicza z jedną pochodną, a więc pomarańczowa z niebieską, żółta z fioletową, zielona z czerwoną. Lud nasz rzecz tę doskonale zrozumiał, przeprowadzając takie zestawienie w swych pasiakach, strojach i haftach. Dla zestawień bardziej stonowanych, używanych w miastach, doskonałymi wzorami mogą być stare, muzealne dziś okazy materij średniowiecznych i renesansowych.

Harmonja kolorystyczna jest przedmiotem bardzo ciekawej nauki, zwanej „estetyką barw“; teoretycznie traktują o niej dzieła H. Struve'go i inne — praktycznie dochodzi się do niej przez doświadczenia, studjum natury i starych dzieł sztuki.

Dlaczego zwracam specjalną uwagę na kolorystyczne kwestje? Po pierwsze dlatego, że barwki, jakimi się dziś rozporządza, nie dają same z siebie ładnych zestawień barwnych, (wyjąwszy barwki naturalne) i trzeba sobie umiejętnie z nimi radzić, by osiągnąć dobre wyniki.

Po drugie: w batikach kolor jest czynnikiem pierwszorzędnej wagi, który podnosi, lub niszczy jego wartość. Po trzecie: dzisiejszy wir życia miejskiego burzy w ludziach, oderwanych zupełnie od przyrody, poczucie harmonii kolorystycznej, czego wynikiem są jaskrawe, bezmyślne batiki, kilimy, hafty, a także całe wnętrza; braki w tym kierunku należy odbudowywać na drodze doświadczeń i nauki.

Na zakończenie należy się słów kilka ornamentowi. Jest on w batikach tak swobodny, jak w małej której innej technice, co stanowi jego urok i siłę atrakcyjną. Mimo tej swobody i w batikach musi rysunek mieć pewien logiczny związek z płaszczyzną, którą się zdobi. Batiki mogą służyć do różnych celów; batikuje się szale jedwabne, chusteczki, serwety —

można też oprawić w batik książkę, lub zawiesić go jako abażur. W każdym wypadku inaczej się rozmieści motywy ornamentu na tkaninie. Wzory ciągłe, powtarzające się w nieskończoność — odpowiednie na obicia meblowe, tapety, suknie, nie nadają się na te drobiazgi<sup>2)</sup>. Oko przyzwyczaja się dziś do nich wskutek tego, że obecna moda zezwala na wzorzyste materiały; każdy jednak przyzna, że wzór doskonały na satynie, przeznaczonej na podszewkę, byłby nieodpowiedni na firance, lub na przykryciu stołu.

Wzór na przedmiotach, posiadających stały, niezmienny kształt i zgóry określone przeznaczenie, powinien robić wrażenie zamkniętej w sobie całości — powinien na danej płaszczyźnie zaczynać się i kończyć. Rysunek i kolor powinny przytem podkreślać przeznaczenie batiku. Jeśli np. ma on być przykryciem okrągłego stołu, środek można podkreślić wyróżniającym go motywem, — dołem będzie zaś biec wzorzysty pas, podkreślający okrąg serwety i stołu. Jeśli serweta jest kwadratowa, — można wyróżnić szczególnie narożniki, wypełniając pozostałą powierzchnię motywami, słabiej się wzrokowi narzucającymi.

Jeśli ornament na szalu, albo firance nie jest pojęty jako rzut, ale jako zakończenie, — powinien robić również wrażenie całości zamkniętej i podkreślającej kształt danej płaszczyzny.

Uwagi powyższe na temat ornamentu są zupełnie luźne; jest to temat obszerny i bogaty w szczegóły. Tym, którzy pragnęliby orientować się w zasadach kompozycji ornamentu mogą polecić wyczerpujące dzieła Karola Homolacs'a p. t. „Podstawowe zasady budowy ornamentu płaskiego“ i „Podręcznik do ćwiczeń zdobniczych“. Oba dzieła, przeznaczone głównie dla pedagogów, doskonałe i dla samouków.

Tym, którzy na studia nie mają ochoty, mogą jako wzory posłużyć stare tkaniny, oraz twórczość ludowa w postaci wycinanek, lub haftów; są to rzeczy zwykle logicznie komponowane i niezmiernie bogate w motywy, — mogą też być często doskonałym wzorem i natchnieniem co do podziału płaszczyzn, zestawień kolorystycznych i t. d. Sądzę, że przemysł tkacki wytwarza dzisiaj materiały tak bogate i różnorodne, a często rzeczywiście piękne, że nie opłaca się tracić wiele czasu i pieniędzy na rzeczy powierzchowne i niedoskonałe. Lepiej jest robić batik bardzo opracowany, jako rzecz luksusową o prawdziwie artystycznej wartości.

Ręka wprawna rysuje ornament wprost na tkaninie pisakiem; mniej pewna siebie rysownicza może robić próby na papierze i dopiero ustalony (w konturach) rysunek przenieść na materiał przy pomocy przeprószania.

Można cały batik dla próby wykonać na papierze; w tym celu rysunek pokrywa się woskiem, jak na tkaninie, — tło pokrywa się wodną farbą za pomocą pędzla — po wyschnięciu jej zaś zdejmuje się wosk scyzorykiem. Resztki wosku usuwa się za pomocą szmatki, zmaczanej w benzynie. Papier musi być mocny, aby się nie łuszczył przy skrobaniu scyzorykiem.

M. Zawadzka.

<sup>1)</sup> W oku ludzkim każdy kolor ma swój osobny nerw.

Jeśli działa tylko jeden kolor, oko się nuży, gdyż pracuje tylko jeden nerw i chce „dla dopełnienia“ odbierać wrażenia innych barw. Dopełnianie się barw wynika więc z budowy oka

<sup>2)</sup> Jawajskie wzory są przeważnie robione na ubrania i są dlatego niekończące się.



## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

### ŁOJOTOK.

Listy, nadsyłane do redakcji „Bluszczu“, do działu kosmetyki, zawierają najczęściej pytania, dotyczące łojotoku. Dlatego też postanowiłam dać z tej dziedziny odpowiedź ogólną, by czytelniczki „Bluszczu“ mogły same się zorientować i w granicach możliwości przeprowadzać leczenie.

Łojotok jest najczęstszym i najpospolitszym cierpieniem skóry.

Jest to największa plaga urody kobiecej, gdyż nic tak nie szpeci cery, jak właśnie łojotok skóry.

Przyczyny powstania łojotoku nie są dotychczas wyjaśnione. Prawdopodobnie gruczoły o wewnętrznym wydzielaniu, zwłaszcza gruczoły płciowe, odgrywają w tem wielką rolę.

Faktem jest bowiem, że łojotok zaczyna się zwykle w okresie pokwitania, t. j. w 14 — 15 roku życia u chłopców i dziewcząt. Natomiast u kobiet podczas ciąży znacznie się zmniejsza, a po porodzie, nieleczonej, wzrasta ze znaczną siłą.

Poza tem błednica, anemja, choroby przewodu pokarmowego (zaparcie stolca), samozatrucia, zła przemiana materji sprzyjają łojotokowi.

W każdej normalnej skórze są rozmieszczone gruczoły łojowe, które wydzielają odpowiednią ilość łoju i chronią skórę przed tworzeniem się szczelin i wysychaniem.

Wzmoczoną i nadmierną czynność gruczołów łojowych nazywamy łojotokiem.

Łojotok może być oleisty i suchy.

Miejsca usadowienia się łojotoku oleistego są przede wszystkim nos, broda, czoło, rzadziej policzki i plecy.

Ponieważ ujście gruczołu łojowego łączy się z torebką włosa, przy łojotoku nadmiernym skutkiem ucisku na torebkę włosową następuje wypadanie włosa.

W łojotoku, występującym na skórze głowy owłosionej, włosy są lepkie, błyszczące, zlepiające się w pasma. Częste mycie włosów radykalnie nie przeciwdziała odłuszczeniu się skóry, natomiast włosy osłabiają się przez częste mycie, roszczepiają na końcach i coraz bardziej wypadają.

W lżejszym stopniu łojotoku oleistego na miejscach zajętych sprawą łojotoku występują krople tłuszczu, twarz cała błyszcząca, jak gdyby oliwą posmarowana.

Skóra łojotokowa jest zwykle grubsza, barwy szaro-żółtej.

Rozróżniamy trzy stopnie łojotoku: lżejszy, średni i najsilniejszy.

Przy łojotoku skóry lżejszego stopnia, jeżeli zetrzemy łoż spirytusem, zobaczymy mnóstwo otworków. Wygląda to, jak gdyby skóra była pokryta tiulową woalką.

Są to otworki nadmiernie rozszerzonych gruczołów łojowych. Otworek taki, zatkany brudem, łożem i komórkami gruczołowymi, tworzy tak zwane wągry, jest to drugi, silniejszy stopień łojotoku. Jeżeli do takiego gruczołu, patologicznie zmienionego, rozszerzonego, dostaną się bakterje, tworzy się ropień, który pęka, zasycha i daje krostkę. Krostka może pozostać blizną.

Krosty na twarzy są najczęściej pochodzenia łojotokowego i nazywają się wtedy trądzikiem łożo-

tokowym. Jest to trzeci stopień łojotoku, forma najsilniejszego natężenia chorobowego, dającego najprzykrzejsze objawy. Skórę łojotokową należy leczyć przy minimalnych objawach, by nie dopuścić do większych zmian, które usunąć jest bardzo trudno, nawet przy użyciu wielu starań i trudów.

Łojotok leczy się latami. Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na podstawowe cierpienie. Poza tem koniecznem jest dużo powietrza, słońca, kąpiele i używanie do mycia wody gorącej.

Zarazem należy zwrócić uwagę na odżywianie się. Stanowczo unikać mięsa, serów, ostrych potraw, czarnej kawy, alkoholu i nikotyny.

Lokalnie zaś, zależnie od stopnia łojotoku, przeprowadzamy systematyczne leczenie.

Przy łojotoku 1-go stopnia, t. j. lekkiego, wystarczy zmywać twarz gorącą wodą z łyżeczką boraksu. Używać do mycia mydło siarkowe, lub ichtjolowe, o ile skóra mydło znosi. Następnie wycierać twarz spirtusem rezorcynowym 2%, wkońcu dobrym pudrem lekko przypudrować. O ile skóra zbyt szybko się odłuszcza, używać delikatnego kremu w ilości minimalnej.

Przy łojotoku drugiego, t. j. średniego stopnia, gdy występują wągry, poleciłabym zmywanie twarzy gorącą wodą z mydłem siarkowym, wycieranie spirtusem salicylowym 2 proc. rano, a wieczorem spirtusem rezorcynowym 2 proc. Po spirt. resorcynowym wieczorem użyć odrobiny kremu, rano zaś, po spirt. salicylowym lekko przypudrować pudrem higienicznym. Poza tem parówkę stosować należy 3 razy w tygodniu po 10 minut. Po parówce spłókać zimną wodą, osuszyć twarz i wytrzeć ją spirtusem 90 proc. Następnie odpowiednim metalowym przyrządem do wyciskania wągrów, tak zwanym kluczykiem, delikatnie powyciskać wągry. Każdy wągiek z osobna po wyciśnięciu zajodynować, w końcu wytrzeć twarz kremem delikatnym i przypudrować. Jest to jedyny sposób radykalny do usuwania wągrów.

Przyrząd do wyciskania wągrów przed użyciem trzeba wygotować w wodzie z sodą, ażeby uniknąć infekcji i przykrych jej skutków.

Jeżeli niema w domu odpowiedniego przyrządu do parowania twarzy, można w prymitywny sposób zastosować do tego imbryk. Imbryk z wody postawić na gazie, lub prymusie, a gdy para wydobywać się znacznie przez lejek, włożyć weń zwykle sitko do cedzenia herbaty, aby osłabić siłę pary.

Parowanie odbywać przez zakrycie twarzy ręcznikiem.

Skutek pewny i dobry.

Łojotok trzeciego, najsilniejszego stopnia, połączonej z krostami, musi być leczony zapomocą leków farmaceutycznych i masażu, umiejętną ręką wykonanego. Leczenie musi być przeprowadzone przez lekarza specjalistę.

Druga postać łojotoku, to łojotok suchy, występujący głównie na skórze owłosionej głowy.

Tu włosy są mniej tłuste, pokryte drobnymi łuskami, jak gdyby strupkami. Swędzenie głowy sprawia, że chorzy drapią się, łuseczki osypują się i najczęściej cały kołnierz, zwłaszcza u mężczyzn, pokryty jest łuseczkami. To łuszczenie się skóry nazywamy łupieżem.



Łojotok suchy prowadzi też do wypadania włosów.

Łupież jest dolegliwością łatwo dającą się usunąć.

Jeżeli mamy do czynienia z łupieżem, jeszcze bez wypadania włosów, trzeba wetrzeć na 24 godz. maść siarkową 10% w lanolinie. (Są skóry tak delikatne, że siarki nie znoszą, wtedy trzeba zastąpić siarkę innym, mniej drażniącym środkiem).

Jeżeli zaś włosy już zaczynają wypadać, należy w jednym i tem samym lekarstwie używać środka przeciw łupieży i jednocześnie wzmacniające włosy.

Receptę podaje:

Na łupież:

Sulf. praecip. 2,0

Ung. cerei 18,0

Ol. bergomot. gtt. V.

Na wzmocnienie:

Sulfidol Resorcini aa 10,0

Spir. camph. 20,0

Spir. vini rectific. 100,

Zamieszać przed użyciem. 2 tygodnie wycierać skórę na noc — tydzień przerwa. Podczas przerwy umyć włosy i trzykrotnie powtarzać leczenie.

Jak już zaznaczyłam łojotok leczy się latami, gdyż jest to jedna z najbardziej uporczywych chorób skórnych. Nie należy łudzić się reklamowanymi środkami, które prócz chwilowego polepszenia nigdy stałego efektu nie dają. Czasem zaś przynoszą więcej szkody, niż korzyści, wywołując ciężkie podrażnienia i zapalenia skóry.

Leczenie bowiem łojotoku jest najtrudniejszym zadaniem tak dla lekarza, jak i dla chorego. Obecnie zaleca się środki podskórne i zewnętrzne (żyzymazę, ovarogen i t. d.).

Wszystkie środki wewnętrzne i zewnętrzne muszą być stosowane długo i systematycznie.

Łojotok polega na własności wydzielniczej gruczołów łojowych w skórze. Należy więc zmienić całą tę właściwość skóry — zmniejszyć gruczoły łojowe co do wielkości i co do nadmiaru wydzielania łoju.

Nie należy zbyt często zmieniać metody leczenia, Trzeba uświadomić sobie, że łojotok leczy się przedewszystkiem cierpliwością lekarza i chorego, jedynie przez systematyczne i długie stosowanie środków leczniczych.

Dr. Julja Świtalska.

## HODOWLA OGÓRKÓW

(dokończenie)

Jeśli ogórki mają być sadzone nisko wykopujemy na dnie płytkiej szklarni w odstępach co 1 m. doły 40 cm. głębokie, a do 50 cm. szerokie, wypełniamy je świeżą końską mierzwą i udeptujemy. Na nią sypimy warstwę żyznej, przegniłej, ale nie odsiewanej ziemi na grubość 40 cm., albo ziemię tę usypujemy w kopczyki, odpowiadające rozmieszczeniu dołków wykopanych. Ziemia powinna być odleżała, kilkolatnia, złożona z gnojowej, gruntowej, darniowej i gliny, lecz nie odsiewana, więc powinna zawierać cząstki nieprzegniłe, ażeby była przewiewna.

Przy uprawie na półkach pożądane są parapety przewiewne od spodu. Takie otrzymuje się, rozpościerając na łatach, lub szynach żelaznych, siatkę drucianą, którą pokryć należy warstwą mchu. Mniej przewiewne półki mają za podkład warstwę dachówek gładkich, lub płyt ceglanych, cienkich, specjalnie w tym celu przygotowanych. Na jednym, lub drugim podkładzie rozkładamy 10-cm.-trową warstwę przetrawionego nawozu, a na nim ziemię, opisanego powyżej składu, w postaci kopczyków, odległych od siebie co 1 m., a od szyb o 20 do 25 cm. Przed wysadzeniem roślin ziemia powinna się doskonale ogrzać i wyparować.

Teraz trzeba przygotować rusztowanie do rozpinania sznurów ogórkowych. Do żeber budynku umocowujemy co 50 do 60 cm. pętle w ten sposób, żeby zwisały na 25 do 30 cm. Przez te pętle przeciągamy poziomo biegnące druty cynkowane, dobrze wyprężone. Nad każdym kopczykiem do tych drutów mocno przywiązujemy po jednym paliku, biegnącym prostopadle do kierunku tych drutów, a więc od kopczyka do wierzchołka szklarni. Do tych palików będziemy następnie przywiązawali pęd główny, zatem i paliki i wiązadła muszą być dostatecznie mocne.

Gdy szklarnie są przygotowane i dobrze rozgrzane, wysadzamy młode roślinki ostrożnie w kopce, nie uszkadzając brył korzeniowych, i przywiązujemy luźno do palików pionowych. Przed sadze-

niem dobrze jest rośliny obficie poleać. W kopczykach wybieramy na wierzchołku dołek odpowiedniej wielkości, dno jego nieco uciskamy ręką, żeby nie osiadało, wstawiamy w dołek roślinę i zasypujemy ją aż po liście pulchną ziemią. Trzeba uważać, żeby korzenie nie znalazły się za blisko warstwy świeżego nawozu, bo mogłyby ulec oparzeniu.

Wysoka i równomierna temperatura jest w dalszym ciągu czynnikiem decydującym o powodzeniu uprawy: we dnie przynajmniej 18° R., w nocy nie mniej, niż 15°, a jeśli będzie więcej, to też nie zaszkodzi. Oczywiście trzeba wtedy jeszcze więcej spryskiwać, skrapiać ściany i chodniki, żeby wytwarzać obfitość pary wodnej. Dopóki rośliny jeszcze są młode, trzeba polewanie wykonywać bardzo oględnie, gdyż wielkich ilości wilgoci w gruncie potrzebują ogórki dopiero w późniejszym stadium rozwoju. Gdy tylko zauważymy, że pod samą powierzchnią kopczyka ukazują się korzonki, trzeba kopczyki pokrywać, najprzód żyzną, nieodsiewaną ziemią z dodatkiem przegniłego nawozu, a potem samym przetrawionym nawozem i powtarzać tę czynność co dwa do trzech tygodni.

Przewietrzanie szklarń musi się odbywać z największą ostrożnością, żeby prąd chłodnego powietrza nie dotarł do roślin, i żeby tak bardzo roślinom potrzebna wilgoć nie uchodziła, bo cieplarnie obficie przewietrzane wysychają bardzo prędko. Cieniować należy jaknajmniej. Tylko przy uprawach późniejszych w lecie smaruje się szyby mlekiem wapiennym, lub na oknach rozkłada się rogoże.

Gdy rośliny już dobrze podrosną, przystępujemy do cięcia pędów i do wylamywania kwiatów. Od umiejętnego i starannego wykonywania obu tych nader ważnych czynności zależy obfitość plonu, dlatego należy się brać do nich ze znajomością rzeczy i z uwzględnieniem stanu danej rośliny. Gdy pęd główny przekroczy piąwszy diut poziomy i wytworzy nad nim kilka oczek (4 do 5), przycinamy wierzchołek w ten sposób, żeby pozostawić



dwa oczka na wysokości drutu i jedno ponad nim. Z obu oczek niższych mamy otrzymać rozgałęzienia boczne, które pójdą na prawo i na lewo po tym drucie poziomym, a z górnego oczka mamy dostać nowy przewodnik. Jeżeli jednak roślina sama wydała pędy boczne, to wierzchołka możemy nie przycinać, a tylko ograniczyć się do przywiązania wszystkich pędów do przygotowanych dla nich podpór. Jeżeli boczne pędy rozwijają się słabo, to w celu wzmocnienia ich wierzchołek można przyciąć.

Otrzymałszy w ten sposób pierwsze piętro. Gdy przewodnik przekroczył drugi drut poziomy, operacja powtarza się na tych samych zasadach i tak dalej, dopóki roślina nie pokryje bądź wszystkich pięter drutów poziomych, bądź nie osłabnie we wzroście wskutek owocowania.

Przez cały czas należy przewodnik starannie przywiązywać mocnym wiązadłem, ale dość luźno, do palika, a pędy boczne do drutów poziomych. Ponieważ od jednej rośliny do drugiej odstęp wynosi 100 cm., więc każdy z pędów bocznych może osiągnąć co najwyżej długość 50 cm., poczem musi być ucięty. Jest to długość zupełnie wystarczająca, żeby się na jej przestrzeni zawiązały trzy owoce. Jeżeli zawiązki utworzyły się bliżej nasady, to nawet krótsze ucięcie pędu jest zupełnie wskazane, więc za trzecim, lub za piątym oczkiem. Wszystkie pędy, ukazujące się na przestrzeniach pomiędzy piętrami, należy bezwzględnie kasować. Wogóle lepiej jest wyciąć za dużo, niż za mało, żeby roślina miała do wszystkich części dobry dostęp światła i powietrza. Więc należy usuwać rozgałęzienia, które nie posiadają zawiązków owocowych, jak również sznury, z których owoce zostały już zdjęte. Dalej należy usunąć wszystkie kwiaty męskie, zanim nawet zdążą się rozwinąć. Konieczność zapładniania kwiatów żeńskich jest przesadą, bo ogórki z kwiatów zapłodnionych wyrastają niekształtne, zgrubiałe na końcu, zaś kwiaty męskie, opadając na owoce, lub liście, przylegają do nich i powodują zgniliznę. Radzą też niektórzy usuwać pierwsze kwiaty żeńskie, ukazujące się na dolnych pędach, bo chociaż można z nich rychło owoc otrzymać, to jednak odciągają one tak silnie pożywienie, że roślina nadal bardzo słabo się rozwija i małe daje plony.

Jeżeli bujnie rozwinięte liście nadmiernie ocieniają owoce, to nie należy ich wycinać, lecz tylko odchylić i zahaczyć za druty, żeby owoc odsłonić. Wogóle trzeba stale dbać o to, żeby lodygi się nadmiernie nie rozrastały, lecz panować nad tem przez umiejętnie przycinanie i podwiązanie.

Owoce powinny pozostawać na roślinie dopóty tylko, dopóki szybko rosną i przybierają na wadze i rozmiarze. Za długie pozostawianie nie opłaca się, gdyż pozbawia roślinę wielkiej ilości soków, nie dając wzamian korzyści. Nader szkodliwe jest pozostawianie nasienników. Do tego celu można przeznaczyć jedną roślinę i wykluczyć ją z rachunku. Owoc, przeznaczony na nasiennek, pochłonie soki za 10 do 20 owoców zwykłych!

W czasie owocowania ogórki zużywają ogromne ilości wody. W dni upalne wypadnie je podlewać nawet dwa razy dziennie, przyczem polewanie trzeba

wykonywać przez sitko i używać tylko wody dobrze ogrzanej. Od czasu do czasu nie zawadzi dodać do wody gnojówki.

Przy umiejętnym pielęgnowaniu szklarnia długości 25 m. może wydać 2000 do 3000 owoców.

Gdy owocowanie dobiega do końca, a rośliny są zdrowe i wykazują dobry przyrost, to można dopuścić do rozwoju, a nawet przez przycięcie wywołać pędy nowe, zwykle słabsze od poprzednich, i pozwolić im zaowocować. Wprawdzie plon będzie również dość słaby, ale rozwój tych pędów wypadnie na początek lata, kiedy warunki atmosferyczne sprzyjają rozwojowi ogórków, a gruntowych jeszcze niema, zaś inspektowe wypadną drożej, niż drugi plon szklarniowych, tembardziej, że nie potrzeba na nowo siać i ponosić nakładów czasu i kapitału na wyprowadzenie nowych roślin. Tylko ziemię trzeba energicznie wtedy zasilić.

Przy uprawie ogórków zdarzają się też liczne niepowodzenia. Więc zdarza się, że ogórki gumują. Jako powód można przytoczyć spadek temperatury w szklarni do 12° R., lub poniżej tego. Te same objawy, oraz krzywienie się owoców (zwłaszcza młodych) w pałak można przypisać polewaniu zbyt chłodną wodą. Guma występuje na owocach w postaci kropel.

Zgnilizna pieńka występuje wskutek polewania rurką wprost na roślinę. Dlatego trzeba koło pieńka tworzyć kopczyk ochronny z ziemi, a dopiero na jego obwodzie może się znajdować zagłębienie, czyli miska na wodę. Polewanie rurką obnaża też korzenie, więc bardziej wskazane jest polewanie przez sitko niezbyt drobne, żeby unikać zbędnego uklepywania powierzchni ziemi. Jeżeli zgnilizna zawczasu zostanie spostrzeżona, a zależy bardzo na uratowaniu rośliny, to miejsce chore należy ostrym nożem wyciąć aż do zdrowego i ranę grubo zasypać tłuczonym węglem drzewnym, a następnie strzec od dostępu wody.

Mszyce pojawiają się wskutek zaniedbania zraszania roślin i szklarni, bo suche powietrze sprzyja ich rozwojowi. Jeżeli spostrzeżemy choć jedną mszycę, powinniśmy niezwłocznie przystąpić do zwalczania, wykadzając budynek dymem tytoniowym przez dwie noce zrzędu. Na budynek 25-cio metrowy należy rozłożyć przynajmniej w 4-ch miejscach zatłony tytoń. Do tego celu służą grubsze nerwy liściowe, machorka, oraz tytonie własnego siewu.

Gorzknienie owoców występuje, gdy ziemia jest wyczerpana (zasilać) od suszy, albo wskutek zmian temperatury. Ponieważ gorycz tkwi głównie u nasady owoców, więc należy je obierać od wierzchołka w kierunku nasady, żeby goryczy nie rozprowadzać. Po obraniu można ogórki wymoczyć w zimnej wodzie.

Bardzo groźne niebezpieczeństwo przedstawia też choroba, objawiająca się pękaniem lodyg, a nawet owoców. Wywołuje ją prawdopodobnie nadmiar wilgoci podczas dni pochmurnych, kiedy rośliny nie są w stanie przerobić nabranej wody. Tylko przez utrzymywanie wysokiej temperatury, można się uchronić od tej strasznej choroby ogórków szklarniowych.

Stan. Schönfeld.





## KILKA SŁÓW O KAWIE

Jeden ze znanych pisarzy powiedział, że kawa zajmuje pośrednie miejsce między pokarmem dla ciała, a pokarmem dla ducha. Niektórzy lekarze zakazują swoim pacjentom używania kawy, jako środka podniecającego, działającego ujemnie na system nerwowy, jednak wielu uczonych zgadza się, że dla osób wątłych i anemicznych, przebywających w niekorzystnych warunkach klimatycznych, lub ludzi ciężko pracujących, jak np. górniczy, kawa okazuje się zbawienną i oddaje im znakomite usługi. Stusznem więc będzie poznać historję tej pożytecznej rośliny, jej właściwości i sposób przyrządzenia dziś tak bardzo rozpowszechnionej kawy. Kawowiec, czyli drzewo kawowe pochodzi z Arabji, gdzie już w zamierzonej przeszłości kocujące plemiona przyrządzały napój z jego ziarna, nazwanego z czasem kawą. Wzmianki o kawie spotkamy w zapisach pisarza arabskiego z IX stulecia, poczem dopiero w XVI wieku dowiadujemy się o pierwszej otwartej w Konstantynopolu kawiarni. W jakiś czas później zwyczaj picia kawy ukazuje się we Włoszech, a przywieziona przez posła tureckiego do Paryża prędko zyskuje tam prawo obywatelstwa. Ludwik XIV pierwszy raczy się tym nektarem, a, polubiwszy go, rozpowszechnia napój, który wkrótce staje się ulubionym przysmakiem, zwłaszcza kobiet. W wieku XVII spotykamy się z kawą w Polsce, a nawet polak, nazwiskiem Kulczycki, zakłada pierwszą w Wiedniu kawiarnię, na którą pozwolenie otrzymuje za zasługi położone podczas oblężenia Wiednia przez Turków. — Osadnicy starali się rozpowszechnić plantacje drzewa kawowego we wszystkich ciepłych krajach. W roku 1714 przywieziono do Ogrodu Botanicznego w Paryżu — małą odnóżkę tego drzewa, która przyjmując się, wydała kilka pędów, z których trzy wysłano na wyspy antylskie. Jeden tylko przetrwał, przyjął się i od tej zbiedzonej daleką podróżą gałązki, zasadzonej na Martynice, biorą początek olbrzymie plantacje kawy w Ameryce. Dużo jest bardzo obecnie odmian kawy, za najlepsze uważane są: kawa arabska lewancka, inaczej zwana Mokka i kawa z wyspy Bourbon — w handlu „Bourbon” zwana. Amerykańskie gatunki mniej są wytworne i posiadają niemiłą goryczkę.

Plantacje na wyspie Cejlon dają również dużo pospolitszych jednak odmian. O ile chcemy mieć na zakończenie wytwornego obiadu wyśmienitą czarną kawę, wskazanemi będą gatunki Mokka, albo Bourbon — na białą użyć można słabszych odmian, uważając tylko, by była świeżo i w miarę upalona, od tego bowiem zależy jej smak i aromat. W Austrii i Szwajcarii, gdzie kawa jest znana z dobroci — gospodynie kupują ją zwykle surową i same ją palą w specjalnych piecykach, dodając trochę masła, wielkości orzecha łaskowego, dla łatwiejszego oddzielenia naskórka. U nas kupuje się przeważnie kawę paloną, zaopatrywać się w nią jednak należy w pierwszorzędnym, a nawet specjalnym sklepach i uważać, aby miała kolor ciemno brązowy, bo tak niedopalona, jak przepalona traci wiele na wartości. Nigdy nie należy brać kawy mielonej. Kawa bowiem jako produkt bardzo rozpowszechniony, a drogi, ulega tak dalece fałszowaniu, że nawet są opatentowane specjalne maszyny do wyrobu ziarna, naśladujących kawę z gliny, chleba, cykorji zmieszanej z fusami z kawy i z klejem stolarskim. Często spotykane jest zafarbowywanie pośledniejszych

gatunków kawy proszkiem żelaznym, kulkami ołowianemi, indygiem, grafitem i t. p. Jeżeli więc kawę w ziarnach tak fałszują cóż mówić dopiero o mielonej, w której w najlepszym razie znajdzie się domieszkę cykorji, zboża, żołądki, migdałków ziemnych, gorzkich kasztanów, palonego korzenia marchwi i t. d. Kawę po upaleniu trzymać należy w szczelnie zamkniętem blaszanym pudełku, albo w słojach szklanych, lub porcelanowych, hermetycznie zakręcanych, bo łatwo wietrzeje. Przed użyciem miele się ją w młynku, tylko do tego używanym; w Turcji tłuką kawę tłuczkiem w moździerzu na tak mialki proszek — jaki z młynka nigdy nie wyjdzie. Prawdziwi znawcy kawy utrzymują, że najlepszą jest parzona w specjalnych porcelanowych, lub kamiennych imbrykach z filtrami na wierzchu. Na trzy filiżanki wysypuje się 60 gr. umielonej kawy, na które leje się powoli 300 gr. gotującej wody (3 filiżanki), czekając, aż sama ścieknie.

Od cierpliwości przy tej robocie zależy w znacznej mierze dobroć kawy, kto bowiem nie pozwoli ściekać jej po kropli, stuka i puka w maszynkę, a tem samem męci kawę, nie otrzyma dostatecznie klarownego płynu o barwie jasno brązowej. Sławna jest kawa turecka. Dla otrzymania jej Turcy bardzo mialko utłuczoną kawę parzą ukropem, trzymają ją kilka chwil pod przykryciem. Gdy naciągnie, słodzą syropem gęstym i rozlewają, a raczej nakładają w maleńkie filiżaneczki wraz z osadem. Choć uważany za wyjątkowy przysmak na wsi odzie — na zachodzie gęszcz ten mniejszem cieszy się powodzeniem. Przypuszczam, że biorąc przykład ze sposobu robienia kawy przez Turków — powstał u nas prymitywny — przerobiony nie do poznania sposób gotowania kawy na wsi. Do naczynia, używanego tylko do kawy, na zagotowaną wodę z małą domieszką cykorji dla koloru, wysypuje się połowę przeznaczoną do użycia kawy — zagotowuje kilka razy, wysypuje resztę, szczelnie zakrywa i, już nie gotując, zsuwa z ognia — i zostawia w spokoju, aż fusy opadną, a kawa się sklaruje, wtedy zlewa się ją ostrożnie przez gęste sitko — i podaje z mlekiem, lub śmietanką. Na czarną tak przyrządzana kawa jest niedobłą, dla przedszego oddzielenia się fusów można po zsunięciu kawy zalać ją kilkoma kroplami zimnej wody. W wielu domach gospodyni, nie dowierzając służbie, robi sama kawę przy stole w maszynce, ogrzewanej spirytusem. Jest ona wyborna, zachowuje cały aromat, gdyż gotuje się pod szklannem przykryciem, nalewa się ją zapomocą kranika u maszynki wprost w filiżaneczki. Kawa chociaż posiada mało odżywczych części, działa silnie pobudzająco, przyspiesza puls — użyta w małej ilości ułatwia trawienie, — dlatego podaje się ją po obiedzie. Różnice w oddziaływaniu kawy i herbaty na człowieka określa Jean Paul w sposób następujący: kawa tworzy ognistych Arabów — herbata ceremonjalnych Chińczyków — oprócz napoju, kawa daje nam wyborny dodatek ulubiony przez smakoszy do wykwintnych likierów, ciastek, kremów, lodów i cukierków. Kawa mrożona podana z kremem, lub zimna czarna na lodzie, zwana maza-granem stanowi w upały letnie znakomity chłodzący napój.

Nawet fusy z kawy są cenne — gdyż zasilają różne sztamowe i różne doniczkowe rośliny. Różę podlewaną fusami kwitną bogato, ponsowe zaś nabierają mocnej wspaniałej barwy.



## PRZEPISY GOSPODARSKIE

### ZRAZY WIEPRZOWE.

Kawał nietłustej pieczeni, lub łopatki wieprzowej, pokrajać na cienkie plastry, — tak, jak na sznycle. — starając się pokrajać wpoprzek włókien, aby mięso było kruche, a nie włókniste, wybrać je bardzo mocno. Na pół kilo takiego mięsa (cięć do sześciu cienkich plasterów) obrać tyleż kartofli i pokrajać w podłużną kostkę. Dwie duże cebule pokrajać w plaster. Wziąć nelsonkę ze szczelną pokrywą, na spód położyć parę kawałków słoninki, odebranej uprzednio od mięsa, na to sznycle, cebule, kartofle, trochę opieprzyć, posolić i znowu mięso, cebulę, kartofle, aż się wszystko włoży, ostatnia warstwa powinna być także z kartoflami. Cztery łyżki konserwy pomidorowej rozbić z pół szklanką (półkwaterką) śmietany i dżurą szklanką rosółu, lub w braku jego zimnej wody, płynem tym zalać zrazy, na wierzch położyć parę płatków słoniny, lub kawałeczków masła. Przykryć szczelnie pokrywą i postawić na blasze. Dusić, często potraszając, aby do dna nie przyszło, około czterdziestu minut. Wydać na stół w tem samym naczyniu

### KOTLETY WIEPRZOWE PO IRLANDZKU.

Niezbyt grube kotlety wieprzowe zbić mocno, osolić, utarzać w mące i zrumienić na maśle, lub szmalcu, nie przesmażając nadto. Na sześć kotletów utrzeć na tarce kilo marchwi, trzy spore cebule pokrajać na plaster i pół kilo kartofli surowych pokrajać w cienkie plaster. Ułożyć w rondlu kotlety, na to warstwami marchew, kartofle i cebulę, podlać tłuszczem od smażenia kotletów, osolić, nieco opieprzyć, dodać szklankę rosółu, lub wody i dusić na wolnym ogniu, aż kartofle zmiękną.

Jarzyny ułożyć na półmisku, a na nich, lub obok kotlety. Marchew tak przrządzona ma smak zupełnie odmienny i osoby, które w zwykłej przyprawie jej nie znoszą, tak przyrządzoną chętnie jedzą.

### PĄCZKI WIELOKROTNIE WYPRÓBOWANE.

Kwaterkę najlepszej, suchej mąki sparzyć dwoma kwaterkami wrzącego mleka i wybijać mocno łyżką, aby masa się stała gładka bez gruzków. Gdyby mleka było za mało, masa była za gęsta, można do wzięć więcej, wszystko zależy od suchości mąki. Gdy wstąpienie, wlewa się rozbite w letniem mleku drożdże (na 10 funtów, to jest 4 kilo mąki pół funta, czyli 20 deka drożdży) i jeszcze raz dobrze wyrobić, aby była zupełnie gładka masa. Wlać w to 30 łożek, rozbitych do białości z jednym kilo cukru, pół laski wanilii utłuczonej, 40 deka (funty) roztopionego masła i pół szklanki araku, rumu, lub chociaż spirytusu. Wsypać trzy i pół kilo mąki i wyrabiać ciasto tak długo, aż od rąk zupełnie będzie odstawało. Dokładnie trudno określić ilość mąki, gdyż jest to zupełnie zależne od stopnia jej suchości, najlepiej wsypać ją potrochu, a osoba mieszająca ciasto uczuje ręką, czy jej jest dosyć.

Na tę proporcję wychodzi od 9 do 10 funtów, czyli około 4 kilo. Z paczkami jest dużo roboty, nie warto więc nigdy ich robić w mniejszych ilościach, — najmniejszą, przy której ich robota się opłaca jest połowa tej proporcji. Ciasto nie powinno być zbyt twarde, gdyż paczki będą ciężkie. Jak się dobrze podniesie, brać ciasto po kawałku, wyciągać na lekko mąką podsypanej stolnicy, do grubości palca i wykrawać szklanką.

Chcąc mieć paczki, nadziewane powidłami, marmeladą, lub konfiturami, rozciąga się ciasto znacznie cienie, kładzie w równych odstępach po pół łyżeczki nadzienia, przykrywa drugą warstwą ciasta i wycina tak samo, uważając, aby konfitury zawsze były w środku samym paczka. Paczki układać na deskach lub sitach, posypanych mąką, postawić w ciepłej i dać im dobrze podrosnąć. Szmalce roztopić w dużym, płaskim rondlu, próbować kawałkiem ciasta, gdy to predko się rumieni i nawierzchnia spływa, można smażyć paczki. Wrzucać ich naraz tyle, aby swobodnie pływały, zawsze wyrosniętą stroną nadół. Gdy się zdołu zrumienia, przewracać. Wyjąć wszystkie i dopiero wtedy wkładać nową partję. Tylko w taki sposób będą wszystkie ładnie i równo zrumienione. Po wyjęciu natychmiast zmaczać w gęstym syropie, zaprawionym arakiem, lub osypywać pudrem cukrowym z wanilią. W każdym razie wprost ze szmalcu wyjęte, kładzie się je na chwilę na półmisek, pokryty bibułą, aby zbytek tłuszczu osączył.

### RZECZY NAJPROSTSZE.

Kluski kartoflane. Kluski kartoflane można robić z kartofli gotowanych, lub surowych. Pierwsze się robi z kartofli obranych i ugotowanych w niedużej ilości wody. Wodę się odlewa natychmiast po ugotowaniu, aby kartofle nie odwodniały, daje się im wystygnąć, poczem przepuszcza się przez maszynkę do mięsa, dodaje jedno, lub dwa jajka i tyle mąki, aby się dały z masy formować wałeczki. Masę tę soli się i wygniata tak długo, aż się stanie zupełnie jednolita i od rąk odstanie. Robi się długie wałeczki, spłaszcza lekko i kraje ukośnie nożem, jak leniwe pierogi. Przed samem podaniem rzuca się te kluski na osolony wrzątek, gdy spłyną na wierzchni, przykrywa pokrywą i trzyma tak jedną minutę, aby doszły wewnątrz, ale nie rozgotowały się. Wyjmuje się durszlakową łyżką na półmisek, lub salaterkę, polewa przysmażoną z masłem cebulą, lub topioną słoninką i gorące podaje. Gdy część takich kluszek pozostanie, można je poprzekrawać na mniejsze kawałki, wielkości dużego laskowego orzecha i zrumienić predko na szmalcu. Jako dodatek do mięsa, lub jako danie samodzielne są wborne.

Na kluski z surowych kartofli wybiera się bardzo duże kartofle, po obraniu z łupin trze na tarce i odlewa wodę, którą z siebie wypuszczają. Wody tej nie należy wylewać, lecz dać jej ustać się na misce, na dnie pozostanie mąka kartoflana, którą po parokrotnem s-lókaniu można ususzyć i używać do potraw. Do tartych kartofli dodać tyle mąki pszennej, aby masa była gęsta, i k na kluski kładzione. Na osolony wrzątek kładzie się metalową łyżką małe kluski, za każdym razem maczając łyżkę w wodzie, aby dobrze odstawały. Gdy wszystkie spłyną nawierzchni, przykryć rondel na minutę pokrywą, aby doszły wewnątrz, poczem się je wyimuje durszlakową łyżką na salaterkę, polewa topioną słoniną z przesmażoną cebulą i gorące podaje. Jeszcze smaczniejsze są te kluski zamiast gotowane — pieczone. Z tej samej masy formuje się nieduże kulki rozmiaru włoskiego orzecha. Na brytwannie układa się cienkie płatki słoniny, na to kluski (uwagać, aby ciasto było posolone) i wstawia do pieca. Gdy się ze spodu zrumienia, przewrócić wszystkie i piec dalej. Gdy gotowe, kluski się wykłada na półmisek, a na słoninę wlewa się parę łyżek śmietany, lub w braku jej szklankę masłanki, — daje raz zawrzcć i tym sosem polewa kluski. Je się je bardzo gorące.



## KORRESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

*Pani Żabce z Przemyśla.*

Mocno Pani współczuję. Siwienie jest bardzo przykre w wieku późniejszym, co dopiero w tak wczesnym.

Przy poczynającem się siwieniu można je jeszcze powstrzymać przez wzmocnienie włosów, jeśli głowa jest już siwa, pozostaje jedynie farbowanie. Farbować należy tylko farbami roślinnymi, Henną lub bardzo dobrą farbą dr. Frankla Saphiryne, która jest przytem znacznie tańsza, niż inne. Ostrzegam jednak, że przy farbowaniu włosów, nigdy nie można być pewną odcieniu, jedynie można gwarantować nieszkodliwość farby i jednolitość zabarwienia. Odcień jaśniejszy, czy ciemniejszy zależy nie tylko od farby, ale i od jakości włosów.

*Mimoza z Radomia.*

Pocenie się może być na tle choroby ogólnej, najczęściej przy gruźlicy, chorobach infekcyjnych i nerwowych. Między innem spożycie pewnych potraw, gorące płyny, wywołują pocenie się. W danym wypadku podejrzewam, że pocenie się jest skutkiem sprawy chorobowej w płucach.

Należy mierzyć temperaturę 2 razy dziennie, rano i wieczorem w stałych godzinach.

Pocenie się lokalne, pod pachami, jak również rąk i nóg usunie pani w zupełności przez mycie ciepłą wodą 2 razy dziennie i wycieranie płynem Alformin—b. dobry środek i niedrogi.

*Młoda matka.*

Listów z poradami przez pocztę w zasadzie nie wysyłam. Ponieważ jednak temat listu Pani nie nadaje się do korespondencji na łamach „Bluszczu” uwzględniając przytem wyjątkowe położenie, list do Pani wysyłam pocztą.

*Dr. J. Świtalska.*

**SHAMPOO-FALK**  
CZYSZCI I UPIEKSHA WŁOS  
FALKIEWICZ - FABRYKA PERFUM I KOSMETYKÓW - POZNAŃ

## OPIS SUKIEN I ROBOT DO Nr. 3

40. Palto z welwetu, lub zamszu ciemno zielonego—przybrane futrem.

41. Kostjum z czarnego aksamitu, przybrany szenszylami. Jaśniejsze pasy stanowi aksamit, wszyty w przeciwną stronę.

42. Kostjum z granatowej wełny — kołnier i mankiety fokowe.

43. Palto na futrze z angielskiego materiału.

44. Kostjum z brązowej gabardiny, przybrany futrem.

45. Suknia wizytowa — spódniczka z welwetu ciemnozielonego — góra z crêpe marocain rezedowego — wstążka koloru spódniczki.

46. Suknia dla młodej panienki z różowego crêpe de chine'u — przybrana marabutami. Przód z deseniowej wstążki.

47. Suknia z jedwabiu koloru perne, przybrana futrem.

48. Czepeczek z różowej georgette'y — róże zrobione z tego samego materiału.

49. Czepeczek z lila crêpe de chine'u przybrany karbowaną falbanką.

50. Fartuszek dla dziewczynki z deseniowego materiału.

51. Szlafrok z baji w drobny deseń, obłożony gładką bają.

52. Szlafrok z sukienka kolorowego, przybrany haftem.

53. Fartuszek dla dziewczynki ośmioletniej.

54. Makatka haftowana krzyżykowym ścięciem na tiulu geneuńskim — zakończyć ją trzeba frendzlą z wełny. Wielkość nat. 80×100 cm.

55. Wzór na laufer — haft Richelieu. wielkość 45×145 cm

**UWAGA:** Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następujących: obrus-makatka-ekran zł. 2.50; poduszka-serwetka zł. 1.50; drobne desenie groszy 75.

Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących:

palto lub suknia fantazyjna . . . . .	zł. 3.50
suknia zwyczajna . . . . .	„ 3.50
bluzka . . . . .	„ 2.50
formy dzieciinne . . . . .	„ 2.00
bielizna . . . . .	„ 1.50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej niż forma lub wzór i dlatego zapewne wiele prenumeraterek nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.

## WAŻNE DLA WSZYSTKICH PRENUMERATOREK!

Wszystkie nasze prenumeratorki, które mają zamiar zmienić dotychczasowy sposób prenumeraty i zamawiać nasz tygodnik w dziale gazetowym najbliższego urzędu pocztowego, lub u listonosza, prosimy, by WE WŁASNYM INTERESIE zechciały NATYCHMIAST NAS O TEM ZAWIADOMIĆ, a to celem uniknięcia wysyłki podwójnych numerów, WZGLĘD-NIE NARAŻENIA SIĘ NA DŁUŻSZĄ ZWŁOKĘ W OTRZYMYWANIU PISMA.

Zaznaczamy przytem, że osoby, które prenumerując przez dział gazetowy, nie wpłacą przed 25-ym stycznia należności za luty, zostaną przez pocztę wykreślone z listy odbiorczyń „Bluszczu”, a Administracja, nie mając ich adresów, wysyłki pisma prolongować nie będzie mogła.

WYDAWNICTWO „BLUSZCZU”.



## Dział Zleceń przy Administracji „Bluszczu“

POWOLNI ŻYCZENIOM WIELU NASZYCH CZYTELNICZEK Z PROWINCJI, CELEM UŁATWIENIA IM CZYNIEŃ ZAKUPÓW ARTYKUŁÓW, KTORYCH NIE MOŻNA OTRZYMAĆ W MIEJSCU ICH POBYTU, OTWIERAMY PRZY NASZYM TYGODNIKU DZIAŁ ZLECEŃ, KTÓRY BĘDZIE MIAŁ ZA ZADANIE BEZZWŁOCZNE I BEZPŁATNE WYKONYWANIE WSZELKICH ZLECEŃ, ODNOŚNIE DO TYCHŻE ZAKUPÓW.

DZIAŁ ZLECEŃ OBEJMUJĄC BĘDZIE 3 PODDZIAŁY, A MIANOWICIE:

- 1) Księgarski.
- 2) Przedmiotów ułatwiających ekonomiczne prowadzenie gospodarstwa domowego.
- 3) Kosmetyków, specyfików leczniczych i innych środków aptecznych.

W KAŻDYM NUMERZE „BLUSZCZU“ BĘDZIEMY PODAWAŁ SPIS ARTYKUŁÓW I DO NABYCIA I ICH CENY.

WYSYŁKA USKUTECZNIANA BĘDZIE WPROST Z WYTWORNI, WZGLĘDNIE Z PIERWSZYCH ŹRÓDEŁ, PO CENACH NAJNIŻSZYCH, PO PRZYSŁANIU WRAZ Z ZAMÓWIENIEM PODANEJ W OGŁOSZENIU CENY KUPNA I KOSZTÓW PRZESYŁKI. O ILE WYSYŁKA MA NASTĄPIĆ ZA ZALICZENIEM POCZTOWEM, NALEŻY PRZYSŁAĆ PRZY ZAMÓWIENIU TYTUŁEM ZALICZKI 10% CENY KUPNA (DO WYSOKOŚCI 5 ŻŁ. MOŻNA PRZESŁAĆ ZALICZKĘ ZNACZKAMI POCZTOWEMI).

ZAMÓWIENIA ADRESOWAĆ: ADMINISTRACJA „BLUSZCZU“ DZIAŁ ZLECEŃ, WARSZAWA, PLAC ZAMKOWY 99.

### Dział księgarski poleca narazie następujące książki:

Zofja Machowiczowa	„Zbiór Monogramów“ z przesyłką	zł. 5.—
J. Conrad	„Sześć Opowieści“	1,95
	Smuga Cienia	1,95
J. London	Odszczeplenie	0,95
E. G. Wells	Wehikuł Czasu	0,95
W. Gomułcki	Siódme Amen	0,95
A. Dumas	Dama Kameljowa	0,95
Winawer	Lepsze Czasy	0,95
W. Grubiński	No vele	0,95
Tetmajer Przerwa	Waterloo	0,95
G. Maupassant	Miłość	0,95
	Panna Fifi	0,95
J. London	Opow. Mórz Południowych	0,95
J. Kraszewski	Hr. Cosel t. I	0,95
	II.	0,95
	Ostatni z Siekierzyńskich	0,95
J, London	Syn Słońca	0,95
	Serce Kobiety	0,95
	Wilk Morski t. I.	0,95
	II.	0,95
	III.	0,95
	Zew Krwi	0,95
	Wyga	0,95
	złamane Życie	0,95
Dygasiński	Opowieść Wigilijna	0,95
K. Dickens	Król i Osioł	0,95
Mark Twain	Powrót Beatryczy	0,95
E. Ligocki		

KOSZTA WYSYŁKI POLECONEJ WYNOSZĄ 45 GR.



Zwiedziamy Sz. Panie Prenumeratorki, że w Administracji naszej są do nabycia dołączane do „Bluszczu” w latach 1924 i 1925

## ARKUSZE WZORÓW

naturalnej wielkości robot rącznych do kopięwania

Arkusze te można nabyć w cenie 30 gr. za sztukę, z przesyłką pocztową zwykłą 35 gr., poleconą 65 gr.

Najnowsze badania naukowe wykazały, że włosy wytwarza wstrój z budulca gatunkowo swoistego. To też zawiesz musieli wszelkie środki zewnętrzne, poświadczają te, co ich używali.

Jedynie przez dostarczenie organizmowi z wewnątrz, a więc drogą pokarmową, odpowiedniego budulca włosowego, osiągnąć można wyniki niezawodne: włosy przestają wypadać, bujny rozpoczynają się ich porost, — jednocześnie wzmacniają się brwi i rzęsy. Takim środkiem wewnętrznym są tabletki „CRIN” wytwarzane pod nadzorem państw naukowych



W Fabr. Chem. „ESKA” w Poznaniu

Blotki zawierający 250 tabletek „CRIN” wraz ze sposobem użycia zł. 6.—  
Zaświadczenia w aptekach i składach aptecznych lub wprost w fabryce.  
Prospekty naukowe bezpłatnie.



## CUDOWNY NOWY ŚRODEK

**NIE SKURCZY WELNY! NIE ZAŻÓLCI JEDWABI!  
NIE USZKODZI NAWET NAJDELIKATNIEJSZYCH  
MATERJAŁÓW.**

**KUPON** Do p. REIDA, Skrzynka Pocztowa 479, Poczt. Główna, Warszawa.

Proszę mi przysłać próbkę mydła „LUX”. Załączam na opakowanie i przesyłkę groszy 15. Nazwisko i adres: \_\_\_\_\_  
Mydlarnia w której zwykle czynię zakupy \_\_\_\_\_

Kupon ważny aż do odwołania. Każda osoba może otrzymać jedną próbkę.

Przedstawiciel na Polskę firmy  
**LEVER BROTHERS LIMITED (Anglia)**  
L. REID, Warszawa, Moniuszki 11  
Tel. 204-87 i 186-00

Do nabycia w składach aptecznych i mydlarniach



## NIE REKLAMA — FAKT! 8.000 PORTRETÓW DARMO!

Dla rozpowszechnienia naszego zakładu fotograficznego między czytelnikami, postanowiliśmy rozdać 8000 portretów DARMO. PRZYSŁIJCIE lub przynieście DO ZAKŁADU NASZEGO FOTOGRAFIĘ (stara lub nowa, pojedyncza, podwójna lub grupa) Z WASZYM DOKŁADNYM ADRESEM NA PONIŻSZYM NUMEROWANYM KWIECIE I NA ODWRÓTNEJ STRONIE FOTOGRAFII PODAĆ PROSIMY RÓWNIEŻ NAZWISKO I ADRES, — a otrzymacie w przeciągu 14 dni RETUSZOWANY, ARTYSTYCZNIE WYKONANY ZE ZDUMIEWAJĄCEM PODOBIENSTWEM PORTRET. Oprawiony w eleganckie passe-partout rozmiaru 35x45 cm. Skorzystajcie jak najprędzej z naszej propozycji, gdyż dla reklamy wyznaczaliśmy ograniczoną liczbę tylko 8.000 portretów. Jako wzajemną usługę, gdy będziecie (a to napewno) z portretów zadowoleni, prosimy polecać nasz zakład znajomym. Fotografie wysłane otrzymacie z powrotem w całości bez żadnego uszkodzenia wraz z portretem. Za passe-partout, przesyłkę, opakowanie i zwrot kosztów ogłoszeń prosimy PRZYSŁAĆ

5 ZŁOTYCH. Nasz zakład, egzystując już od dłuższego czasu, również cieszył się uznaniem i tem samym daje zupełną gwarancję co do uczciwości naszej propozycji, my jednak obowiązuujemy się zapłacić 1.000 złotych temu kto dowiedzie że wymienione warunki nie będą dotrzymane. Przekazy i listy prosimy adresować: ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY „FOTO-PORTRET” WARSZAWA, UL. PRÓŻN. № 7, skrz. poczt. № 586. Tel. 134 51. Zamawiać może każdy czytelnik do 5 sztuk.

Kwit № 1953. Zgodnie z powyższą ofertą proszę zakład fotograficzny „FOTO-PORTRET” w Warszawie nadesłać mi darmo portret fotograficzny rozmiaru passe-partout 35x45 cm, pod warunkiem, że żadnych wydatków oprócz przekazanych w dniu dzisiejszym na każdy portret 5 złotych nie poniosę.

Imię \_\_\_\_\_  
Nazwisko \_\_\_\_\_  
Adres \_\_\_\_\_

Przy grupach należy twarz przeznaczoną do powiększenia oznaczyć x. UWAGA. Od Klientów którzy już skorzystali z niniejszego ogłoszenia otrzymujemy podziękowania i bardzo dużo po ecających zamówień. Wykonanie pierwszorzędne przez najlepszych fachowców.

## PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową wynosi  
Rocznie — 57 zł. 80 gr., kwartalnie — 14.40, miesięcznie — 4.80.  
Zagranicą — miesięcznie — 8 zł. Zmiana adresu 50 gr

## REDAKCJA I ADMINISTRACJA

Warszawa, Krakowskie Przedmieście (Plac Zamkowy) № 99.  
Telefon Nr 239-40 Konto czekowe P. K. O. Nr 3706.